Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 28 (1868) ● 10–16 lipca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Służba zdrowia za rządów PiS

Służba zdrowia za rządów KO

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
28
9 770867 223607

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 53612785c0

WOJNA DOMOWA

Tydzień był niezwykle patriotyczny. Znaczy: chodziło o Patrioty. Władysław Kosiniak-Kamysz przedstawił listę „donacji” dla Ukrainy, z której wynikło, że PiS podarował sprzętu wojskowego za 14,9 mld, a obecna władza tylko za 1,55 mld zł, więc PiS ma więcej na sumieniu – choć to w ogóle nie jest na sumieniu, to wielka zasługa. Na co PiS odpowiedział, że on dawał stare, ruskie, a Kosiniak oddał Patrioty. Na co Kosiniak, że oddał tylko parę, nie może powiedzieć ile, ale niedużo, i że Ameryka nam pozwoliła. A potem jeszcze pan prezydent powiedział, że nie wiedział, a pan wicepremier, że wiedział, na co prezydent, że nie był „konsultowany”, na co minister, że był „informowany”. A potem już w ogóle dyskusja się wzniosła na wysoki poziom, a nasz ulubiony przejaw to dialog między wiceministrem obrony narodowej Cezarym Tomczykiem a kandydatem opozycji na prezesa rady ministrów Przemysławem Czarnkiem. Tomczyk: „PiS to banda cynicznych idiotów”. Czarnek: „Pan Tomczyk sam jest idiotą”. Pojedynek mistrzów ciętej riposty.

Zadyma szpitalna nie przygasa. Na 1,6 mln zł dr. Kacprzyka z KO w Szpitalu Południowym obóz rządowy odpowiedział szpitalem w Mogilnie. Jak bystrze wylistował min. Kierwiński, lekarz, który w Mogilnie zarabiał 26 tys. zł za godzinę, za PiS był „prezesem Agencji Rezerw Materiałowych, w zarządzie ENEA, członkiem Społecznego Komitetu Poparcia J. Kaczyńskiego, dyrektorem w MF”. Na co były pisowski wiceminister zdrowia Cieszyński odpowiedział, że może chirurg robił karierę za PiS, ale za szpital odpowiada starosta, a to kumpel Czarzastego. Jak to dobrze, że o tak zasadniczym i ważkim temacie, jak tonąca służba zdrowia, politycy rozmawiają z całą powagą i świadomością gravitasu.

Świadomość gravitasu bezsprzecznie ma ministra Sobierańska-Grenda, która miała wylecieć, ale nie wyleciała. Zorganizowała za to konferencję prasową, którą zainaugurowała, odczytując z kartki oświadczenie rozpoczynające się zdaniem równie zaskakującym jak słynne „już jest lepiej”: „W ostatnich tygodniach wielu pacjentów zadaje sobie pytanie, czy w polskim systemie ochrony zdrowia wciąż najważniejsze miejsce zajmuje pacjent”… To „wciąż” jest słodkie, prawda? Później ministra dała bezkompromisowy wyraz swojej determinacji w sprawie ukrócenia absurdalnych kominów płacowych: „Chcemy również zmierzyć się z maksymalnym limitem wynagrodzeń dla indywidualnego pracownika medycznego. Tutaj naszą stawką wyjściową, którą proponujemy, jest kwota do 240 zł brutto za godzinę, oczywiście jest to wskaźnik, który przyjmujemy jako przelicznik do etatu”… Jak ktoś z Państwa zrozumiał, ile teraz mają zarabiać lekarze, to prosimy przysyłać odpowiedzi na kartkach pocztowych.

Nie samym zdrowiem człowiek żyje. Jest jeszcze wojna z Ukrainą. Nie, nie ta ruska. Nasza własna. Nowy sondaż IBRiS pokazał, że dwie Konfederacje razem mają więcej niż PiS: 13,3 plus 11 przeciwko pisowskim 23,2 proc. Toteż Prawo i Sprawiedliwość postanowiło przepracować swój przekaz. Na – żeby zacytować red. Adamek z TVN24 – „ukrainosceptyczny, bym to nazwała, a może i antyukraiński”. Dalej Adamek pouczyła Jarosława i jego ludzi, że nikt nie będzie „kupował wyrobu czekoladopodobnego, kiedy można mieć prawdziwą czekoladę” – czyli „ugrupowania, które zawsze miały na sztandarach to, że są antyukraińskie, ale chyba można też powiedzieć – i może nawet to jest bardziej uzasadnione, żeby mówić – że są prorosyjskie poprzez swoją antyukraińskość”. Cytujemy ten wywód, bo jest swoiście fascynujący. Oto czołowa reporterka sejmowa najbardziej mainstreamowej telewizji informacyjnej ogłosiła, że prorosyjskość jest jak czekolada. Prawdziwa! Wszyscy łowcy onuc mogą się wypałować.

Marszałek Czarzasty wybrał w tej samej walce inny oręż. Zwrócił się wprost do Mateusza Morawieckiego: „Mówię do pana premiera Morawieckiego: niech pan nie ściga się w tej sprawie z Konfederacją, Braunem i Nawrockim, bo pan przegra, bo są siły radykalne. Od pana, jako od byłego premiera Polski, oczekuję mądrości, a nie ścigania się na hejt. No, na Boga, jest pan dobrym politykiem, był pan premierem olbrzymiego narodu, wobec czego naprawdę są takie chwile, kiedy nie trzeba patrzeć na słupki tu i teraz, tylko trzeba patrzeć na Polskę”. Właściwie nie wiemy, co nas bardziej wzruszyło: czy poetycki patriotyzm tow. Czarzastego, czy jego zaskakujący komplement pod adresem polityka, który nazywał go „starym komuchem” i w odpowiedzi słyszał, że jest bez honoru. To może być początek pięknej przyjaźni…

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2014 r.

Świętego Tomasza

Przy kolacji w jednej z warszawskich restauracji nie dla biednych jej właściciel pogadał ze mną chwilę. Afera podsłuchowa przydała życia knajpom. Goście mają o czym rozmawiać ze sobą i żartować z kelnerami. Niektórzy stołownicy, myślowo ambitni, umawiają się, że o aferze ani słowa ze względu na zbanalizowanie tematu. Polityków wymiotło z knajp, co dowodzi ich tchórzostwa i braku przekory. A przecież dziś bankiety tuskowców byłyby demonstracją niewinności: nie musimy się ukrywać!

Świętego Florenta

Byliśmy z Daniszewską na osławionym filmie irańskim „Rękopisy nie płoną”, który dostał nagrodę międzynarodówki krytyków FIPRESCI. Nie należałoby o tym pisać, bo dzieło obejrzało w Warszawie parę wdów po emerytach, staruszek wyjących w domu z nudów. Ja jednak jestem spensjonowanym komunistycznym oprawcą wolności słowa, muszę więc się odnieść do kolegów oprawców muzułmańskich. Kaci sztuki filmowej (krytycy) nagrodzili nudnawy fałsz, ponieważ ma wolnościowe przesłanie. Reżyser ogłosił, że nie zdradza nazwisk perskich aktorów, bo film jest w Iranie nielegalny i grozi im więzienie. Czy widział kto na świecie policję nieumiejącą wedle twarzy zidentyfikować odtwórców w filmie? Autor laureat oznajmił, że dzieło przedstawia fakty prawdziwe. Na ekranie widzimy reżim, który morduje opozycyjnych pisarzy – świadków zbrodni politycznej władz – żeby zdobyć rękopis, który o niej opowiada, i jego kopie. Tych świadków jest 21. W czasach internetu, komórek, otwartych granic Iranu pisarze oddają życie za ten „niepłonący” rękopis, jak gdyby papier był jedynym nośnikiem wiedzy, którą chcą przekazać za granicę.

Mój islamski odpowiednik – główny wojownik z wolnym słowem – jest to redaktor największej gazety w Teheranie, cenzor wszystkich gazet, dysponent paszportów i miejsc w szpitalach. Osobiście śledzi on pisarzy. Szantażuje ich w biurze i po domach i dowodzi skrytobójcami. Niesamowita wydajność pracy! Klnę się na Marksa i Bieruta, że u nas w PRL potrzeba było do tego wszystkiego tysięcy ludzi.

Świętej Marii Antoniny

Sprawa byłego ministra Nowaka coś mi przypomniała. Działo się to za rządów SLD w Polsce. Na śródziemnomorskiej wyspie poznałem na urlopie rodaka i zacząłem do niego mówić „panie ministrze”. – Skąd pan wie, że jestem wiceministrem? – zaciekawił się nieznajomy. – Poznałem po zegarku – odparłem. Cała czołówka ekipy rządzącej nosiła wówczas identyczne złote chronometry.

Świętej Marietty

Bodaj u Gogola wdowa po żandarmie sama się wychłostała, a ja, będąc rzecznikiem rządu, założyłem sobie pluskwę. Zwróciłem się do SB o zamontowanie podsłuchu w saloniku, w którym rozmawiałem z dziennikarzami. Raz dwa technicy wsunęli malutką sztabkę między klepki podłogi i zamaskowali ją po mistrzowsku drewienkiem. Chodziło mi o to, żeby mieć dowód, gdyby jakiś zachodni dziennikarz napisał, że powiedziałem coś, czego nie powiedziałem, lub wypowiedź przekręcił. Mój patron Rakowski poprosił, żebym puknął się w czoło i kazał wydłubać pluskwę: dziennikarze zawsze jawnie nagrywają to, co im mówisz, dlaczego ty nie robisz tego samego? Wspominam o tym, żeby wskazać, że w atmosferze wszechobecności podsłuchów wszyscy głupieją.

Ilustr. OLEJNIK

Świętego Raula

Ćwierć miliona tutejszych katolików jest odmóżdżonych jak płód, którego nie chciał usunąć prof. Chazan. 250 tysięcy chazanowców złożyło w sejmie projekt ustawy przewidujący karanie więzieniem za edukację seksualną ustawowo szkołom nakazaną. Mariusz Dzierżawski, pełnomocnik akcji „Stop pedofilii”, według „Gazety Polskiej Codziennie” z 3 lipca głosi, że Światowa Organizacja Zdrowia wprowadza do szkół propagandę pedofilii. Jego kolega Jacek Januszewski (według tejże gazety) oświadczył: „Homoseksualiści i inni zboczeńcy będą wchodzili do szkół, by uczyć dzieci masturbacji”. Dzierżawski: lobby homoseksualne chce, aby już w żłobkach zachęcać dzieci do masturbacji, a potem do wczesnego seksu, także homo, antykoncepcji i aborcji.

Rzecz wymaga poważnej debaty z udziałem dziatwy, która zaświadczy, że umiejętność onanizmu nabywa sama z siebie oraz od kolegów i koleżanek. Niech pedofile wyjaśniają, że w ich interesie nie leży samozaspokajanie się dzieci. A minister Arłukowicz przysięgnie, że stosowanie antykoncepcji najlepiej zapobiega aborcjom. Ja zaś powiem z doświadczenia, że onanizm bardziej niż bajki rozwija wyobraźnię. Akcja „Stop pedofilii” jest w istocie wezwaniem, żeby pilnie, szczerze, szeroko uczyć w szkołach wiedzy o seksie. Inaczej dzieci skazane będą na edukację rodziców, wśród których roi się od katolickich kretynów. Potem i tak każda sobie płody skrobie.

Świętego Thiboua

Jak wiadomo, Korwin-Mikke puścił bąka w Parlamencie Europejskim. Zauważyła go tylko telewizja z Warszawy. Bąk był dźwiękiem wykazującym dalekie pokrewieństwo do angielszczyzny. Sir Azor, pudel, zagrał dla YouToube'a Korwin-Mikkego w Brukseli. Przyodziany był w muszkę i zrobił kupę na rozpostartą flagę Unii. W nagrodę dostał kiełbasę pozostałą po filmie „Golgota picnic”. O zdarzeniach tych informuję dla komentarza. Otóż staram się zaakcentować swoje żydostwo, którego nie odczuwam, ponieważ przebiega u mnie bezobjawowo. Np. nałogowo żrę zakazaną przodkom wieprzowinę. Ukłonem mojego domu wobec parchatych prapraszczurów jest natomiast odmawianie świniny naszym zwierzętom. Otóż poprzez kiełbasę zwyczajną Azor po raz pierwszy w życiu poznał niesłychany urok aryjskości, katolicyzmu, niezabrudzonej słowiańskiej polskości.

Świętej Amandiny

W antologii reportaży XX w. pod redakcją Mariusza Szczygła zamieszczono mój tekst sprzed 57 lat – „Pamiętnik swata”. Chociaż nie lubię mozołów, zmusiłem się do przeczytania o tym, jak udaję, że prowadzę biuro matrymonialne. Reportaż zawiera obserwacje społeczne warte skonfrontowania ze współczesnością. Nam dziś też bowiem się wydaje, że za 60 lat wszystko się zmieni. Zwięźle. Klientki swata zapewniają, że majętność i zarobki kandydata na męża są im obojętne. Pożądają jednak męża z Zachodu, bo pragną lepszego życia. Dziś pieniądz naprawdę gra większą, zwykle pierwszą rolę w doborze matrymonialnym, ale obłuda bez zmian. Najważniejszym marzeniem było mieszkanie. Teraz jest ono dla większości łatwiej osiągalne. 60 lat temu trzeba było na mieszkanie czekać do usranej śmierci, teraz – spłacać kredyt. Pragnęło się podróży, dziś są łatwo osiągalne. Telewizor był luksusem. Dostępność lekarza i lekarstwa nie stanowiła problemu, ale też mniej potrafiono leczyć. Każdy „pracownik umysłowy” był lepszy na męża niż robotnik. Teraz robotnicy zanikli lub mają umysł. Kobiety aspirowały do męża z wyższym wykształceniem. Jak i telewizor, przestał być on dziś dobrem rzadkim. Nadal mąż nie musi być przystojny, za to wysoki i inteligentny. Po co żonom jego inteligencja, było i jest niejasne, gdyż zarazem powinien to być niepijący domator i katolik. O pragnieniu dzieci nie było mowy, teraz to obsesja. Praca żony stanowiła większą oczywistość niż obecnie. Spośród klientek trzeźwą bystrość wykazała jedna tylko, z zawodu prostytutka. Weszła i zapytała, ile płaci. Gdy usłyszała, że nic, natychmiast wyszła, mówiąc: „to jakieś oszustwo”.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Pod Toruniem powstaje najwyższy w Europie **pomnik Matki Boskiej.** Jeśli jej zrobić ruchome ręce, to będzie przyzwoity wiatrak.
- **Prezes Naczelnej Izby Lekarskiej** poskarżył się, że lekarze żyją krócej. To jednak prawda, że lepiej się nie leczyć.
- **74 proc. badanych Polaków** uważa, że najodpowiedniejszym prezentem ślubnym jest gotówka. Gotówkę też woli 100 proc. udzielających ślubów księży.
- **Prezes hoteli Gołębiewski** cofnął zakaz wstępu dla Książula. Ciekawe, na jakiej podstawie uznał, że youtuber będzie chciał tam wrócić.
- **Kardynał Ryś** powołał komisję „Wysłuchanie i wyjaśnienie”. Ciekawe, ile czasu zajmie komisji rozkminienie, że molestowanie nie jest fajne.
- W aplikacji **mObywatel** będzie można prosto złożyć donos do sanepidu. To żadna przyjemność zostawiać swoje dane pod donosem.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Fotowoltaika antarktyczna

Dworuje sobie Autor (RJ) z paneli fotowoltaicznych zainstalowanych w Stacji Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego („Wieści gminne i inne”, „NIE”, nr 26/2026). Każdemu wolno. Absurdalny jest jednak powód tych drwin, cytuję: „aby łapać słońce tam, gdzie go nie ma przez pół roku”. Domyślam się, że chodzi o noc polarną. Otóż NIE (że zacytuję tytuł tygodnika). Wyspa leży na półkuli południowej (przypominam dla porządku) na około 62. stopniu szerokości geograficznej południowej (62 stopnie S), czyli poza obszarem zamkniętym przez koło podbiegunowe południowe. To koło właśnie (66 stopni 34 minuty szerokości geograficznej południowej) wyznacza początek występowania dnia polarnego i nocy polarnej. Pół roku to one trwają na biegunie! Równie dobrze mógłby Autor powiedzieć, że kawałek na północ od Helsinek występuje noc polarna. Dziewczyny i chłopaki z tej Stacji mają jakieś 500 km w prostej linii do koła podbiegunowego południowego.

Czytelnik

Pójdziemy do piekła

Jesteście najbardziej lewicowym (nie-prawicowym) czasopismem w Polsce. Zdolność do głębokiej i inteligentnej krytyki nie idzie u Was w parze z nienawiścią. Pozwolę sobie zaproponować Wam definicję prawicowca jako osoby głęboko wierzącej w piekło – głębiej niż w Boga (o ile w ogóle w Niego wierzy). Prawicowiec potrzebuje nienawiści, wręcz żyje nienawiścią, przy czym nienawidzonym życzy jak najgorzej, a więc wiecznych katuszy, wierząc niezachwianie, że cel ten osiągnie. Ciekawe, czy wśród kleru przeważają tak rozumiani prawicowcy.

Grzegorz Ruchlewicz

eprasa.pl 53612785c0

Światy równoległe

Korespondencja z Rosji

Od lutego 2022 r., ilekroć przyjeżdżam do Rosji, trafiam na moment, w którym państwo rosyjskie demonstruje swoją słabość, wyciągniętą na wierzch przez wojnę na Ukrainie. Tak było z mobilizacją jesienią 2022 r., tak było z korupcją w ministerstwie obrony, tak było, gdy pojawiły się pierwsze pytania, kiedy wreszcie i jak Rosja chce zakończyć tę wojnę. Tak jest i teraz.

Ostatnie miesiące to kompromitujące rosyjską obronę przeciwlotniczą uderzenia ukraińskich rakiet w infrastrukturę paliwową i zbrojeniową Rosji. I to daleko za linią frontu: tysiąc, półtora tysiąca kilometrów w głąb lądu. Co kilka dni wybrzmiewały komunikaty, w jakiej kolejnej wielkiej rafinerii idą z dymem setki tysięcy ton paliwa. Albo jaka kolejna ważna fabryka zbrojeniowa zamieniła się w stertę gruzów. Jak policzyły amerykańskie media, od początku roku Rosja przyjęła 194 uderzenia w infrastrukturę. Dotkliwe.

Niedawno media zostały poinformowane przez dyrektora Rosyjskiego Związku Przemysłowców i Przedsiębiorców Aleksandra Szochina, że rosyjskie firmy „omawiają z władzami stworzenie systemu wykrywania i obrony przed atakami dronów na zakłady przemysłowe". Naprawdę? Od roku ukraińskie drony walą w rosyjskie zakłady jak w bęben, zamieniają je w gruzy lub popioły, a dopiero teraz przedsiębiorcy „omawiają" z władzami ten problem. Nie ma lepszego dowodu na nieruchawość rosyjskiej biurokracji i słabość rosyjskiego państwa.

Na parę dni przed moim przyjazdem uderzono w rafinerię na obrzeżach Petersburga, akurat podczas trwania Petersburskiego Forum Ekonomicznego. Dymy z płonących zbiorników widoczne były doskonale z hotelu, w którym mieszkała część delegatów. Wizerunkowo wyglądało to fatalnie, tym bardziej że Rosja chciała pokazać tym wydarzeniem fiasko prób swojej izolacji w świecie. I to się akurat udało. Tylko ten ciężki czarny dym nad miastem…

Przedtem jeszcze dekret Zełenskiego „zezwalający" na przeprowadzenie w Moskwie defilady w rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem. To zawstydzający policzek dla Rosji. Która zresztą – ku wściekłości obywateli – jakby podporządkowując się Zełenskiemu, ograniczyła tę defiladę do przemarszu pododdziałów pieszych. I takich splunięć w twarz było od początku roku mnóstwo.

A Rosja milczy.

Nawet nie to, że milczy. To byłoby łatwiejsze do zniesienia przez opinię publiczną. Ale kolejne uderzenia zalewano potokiem słów, gróźb, uprzedzeń, patriotycznymi frazesami lub zwykłymi kłamstwami. Poza słowami nie działo się jednak prawie nic. Cierpliwość Rosjan doszła do granic.

• • •

A przecież, gdy jadę z lotniska do hotelu, wojny nie ma. Ulice Moskwy pełne ludzi, piękna pogoda, tętniące życiem nowoczesne miasto, na każdym kroku jakieś kulturalne wydarzenia, grające zespoły, knajpiane ogródki na ulicach, turyści. To jeden świat.

„Tu nie strzelają, a tam, jak przedtem, toczy się wojna" – przyczepiły się do mnie słowa piosenki z dalekiej sprzed lat wojny w Afganistanie. Analogii jest zresztą więcej.

Bo jest jeszcze drugi świat. Wystarczy zmienić kanał w hotelowym telewizorze. Ale ostrożnie: tutaj te dwa światy koegzystują zupełnie bez przeszkód. Klik! I widzimy kadry z pierwszej linii. Bomba, wybuch, twarz żołnierza, zburzone domy, płonące czołgi, ranni, płaczące kobiety, zwłoki przykryte tkaniną… Klik! I przenosimy się na słoneczną ulicę Nikolską w centrum Moskwy, dochodzącą do Placu Czerwonego. Pod dźwięk dzwonów z położonego przy tej ulicy klasztoru, znanej atrakcji turystycznej, na specjalnie ułożonym tartanie odbywają się wyścigi: na 60 m ppł, potem na 60 m. Ułożono tylko trzy tory, co jest kompletnie bez sportowego sensu, bo żadne wyniki nie mogą być oficjalnie uznane. Biegną wielkie gwiazdy międzynarodowej lekkoatletyki. Na tej dróżce, niemal ocierając się o tłum spoconych ludzi, mkną sportowcy, potem udzielają wywiadów przed kamerami największych telewizji rosyjskich, tłumy wiwatują. Potem startują celebryci, robią po drodze pompki, idą 60 m na rękach, tyłem, kręcą salta, ludność szaleje ze szczęścia, zaśmiewając się z widowiska… W tle widać Kreml, wciąż przecież cel dla ukraińskich pocisków i rakiet. Potem klik! Znowu lektor cedzi stalowe słowa o atakach i sukcesach, poległych wrogach i zwycięstwach. Klik! I film o miłości czy „Masza i Niedźwiedź", już nie pamiętam. Przekładaniec absurdu. Można wybrać, co chcesz: wojnę albo błazenadę. Wybieraj! Żyj, jak chcesz, Rosja troszczy się o twoje prawo wyboru. Możesz o wojnie wiedzieć, możesz też jej nie dopuszczać do świadomości.

Ten pomysł na prowadzenie wojny właśnie się skończył.

Bo oto nagle okazało się, że umowa z obywatelami przestała działać tak, jak sobie wyobraziły władze, gdy ten konflikt zaczynały. Miało być tak, że obywatele żyją, pracują, płacą podatki i zachwycają się władzą, a opłaceni ciężkimi pieniędzmi żołnierze walczą o interesy Rosji na Ukrainie. Giną, są ranni, ale wszak za to im jest płacone, więc o co chodzi?

Minęło prawie pięć lat i okazało się, że społeczeństwo nie chce już słyszeć o żadnych walkach, ranach, śmierci, patriotycznym obowiązku. Wyrzuca to ze świadomości. Nie wszyscy, ale na pewno jego znaczna część. Na tyle znaczna, że zaczyna mieć wpływ na sondaże i postrzeganie samej wojny. Zwłaszcza teraz, kiedy wojna, o której wiedzieć nie chcą, przyszła do nich z wszelkimi jej atrybutami: wybuchami, nocnymi alarmami, szukaniem schronu, zagrożeniem życia. Ludzie zaczynają wtedy pytać, a czasem, co gorsza, sarkać. Niebezpieczna sprawa.

• • •

Siedzimy w przepięknym Jarosławiu w grupie dziennikarzy i miejscowych działaczy samorządowych. Widok na Wołgę wart jest wszystkich pieniędzy, smak potraw i krymskiego rieslinga też. Kolega podsuwa mi pod nos swój telefon z SMS-em: „Zagrożenie dronami w rejonie iwanowskim. Zachowajcie spokój, przy pojawieniu się drona znajdźcie bezpieczne schronienie. Tel. 112".

– Tak niemal codziennie – mówi.

– Wiem – odpowiadam. – Niedawno przecież trafili rafinerię pod waszym miastem.

Koledzy przerzucają się spojrzeniami. Kłamać nieładnie, a przytaknąć nie chcą.

– Nnnooo, coś tam było, ale takie niezbyt duże – odpowiada ktoś, nie patrząc mi w oczy.

Za kilka dni, gdy już wróciłem do Moskwy, dzwonię do jednego z nich.

– Trafili was znowu…

Teraz mówi bez wahania i z emocją w głosie.

– Tak, w całym mieście pada kwaśny deszcz. Tego już nawet miejscowy gubernator nie jest w stanie przemilczeć. Niedobrze.

Nie potrzebuję od niego potwierdzenia. Rosyjskie media dudnią o kwaśnym deszczu i trafieniu rafinerii pod Jarosławiem. Kolejnym. Nie tylko tutaj. Kolejne dni, kolejne miasta, Krym niemal codziennie spowity dymem. Benzyna najpierw była na kartki, potem tylko dla samochodów służb ratunkowych, wreszcie w ogóle zamknięto stacje. Przerwy w dostawie wody, wyłączenia prądu. Coraz częstsze, coraz bardziej dotkliwe.

– Przegrywacie – powiedziałem wtedy w Jarosławiu.

– Tak. Ale nie przegramy, jeśli o to ci chodzi – odpowiada Irina. – Prędzej czy później znajdziemy odpowiedź na przewagę dronów. Na lądzie idziemy do przodu. To minie.

Pewnie tak. Pytanie tylko kiedy i za jaką cenę.

Kolejne informacje o przyjmowanych przez Rosję ciosach bez mocnej odpowiedzi odbijają się na nastrojach. Choć wciąż wysoko, to jednak ocena Putina stale spada: od grudnia o 10 proc. Rośnie też odsetek obywateli przekonanych, że sprawy kraju idą w złym kierunku (35 proc.). Padają już całkiem publicznie pytania, czemu armia rosyjska jest bezradna wobec dronów na froncie i wobec uderzeń w głąb kraju. Iwan Kamieniew z kanału „Sołowiow Live" po ostatnich, nader skutecznych atakach na Krym pytał, czy naprawdę od 2022 r. nie można było przewidzieć, że Krym będzie celem kolejnych uderzeń? Czy nie można było umiejscowić składów paliwa pod ziemią lub w górach? Odpowiedzi na takie pytania wciąż nie ma.

Niedawno doskonały reżyser Nikita Michałkow na Petersburskim Forum Prawnym w emocjonalnym tonie mówił: „Jeżeli nie zrozumiemy, że nie jesteśmy nikomu potrzebni poza nami samymi, to przestaniemy istnieć. Jeśli nie zrozumiemy, że nie może istnieć kraj, który toczy wojnę, gdzie jedni walczą i giną, a drudzy nie chcą o tej wojnie słyszeć"… Wspomniał Ławrowa, który powiedział, że „znowu nas oszukali". Michałkow też pytał, kiedy Rosja zamierza reagować.

• • •

Kilka dni potem zapytam korespondenta wojennego, który wrócił z frontu o nastroje wśród żołnierzy.

– Myślisz, że są gotowi do protestu, czegoś w rodzaju buntu? Nic z tego. Drugiego Prigożyna nie będzie. Owszem, są wściekli na bierność polityków, na rozmiar strat i wyrażają to burzliwie i obelżywymi słowami pod adresem wszystkich bez wyjątku na szczytach władzy.

– Prigożyn miał przecież wiele racji, gdy mówił o korupcji, nieudolności, rozgrywkach personalnych…

– No miał. I co z tego? Gdy tylko zorganizował bunt i „marsz na Moskwę" natychmiast stracił niemal całe poparcie. Rosja takich rzeczy nie wybacza.

Wszystko to, o czym mówił Prigożyn, gdy niewybrednymi słowy krytykował ówczesnego ministra obrony i szefa sztabu, wciąż istnieje. Mowa przede wszystkim o niesłychanej korupcji. Po odejściu Szojgu ze stanowiska ministra obrony, z zarzutami, w areszcie lub w więzieniu są niemal wszyscy jego zastępcy. Skala nadużyć jest niewyobrażalna, a niemal co tydzień media donoszą o kolejnym urzędniku resortu obrony, do którego zawitała policja. I co, ludzie mają uwierzyć, że nic o tym nie wiedział? Siergiej Szojgu ma się znakomicie na stanowisku sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.

– Kiedy po niego przyjdą, a przyjdą, zobaczysz – odstawia opróżniony kieliszek Igor – to dla niego byłoby lepiej, żeby z gabinetu wyprowadzili go sanitariusze, w kaftanie bezpieczeństwa, ze śliną kapiącą z kącika ust. Żeby okazało się, że jest i był idiotą, bo tylko to usprawiedliwi go, gdy będzie się mówić, że nie miał o niczym pojęcia. Bo jeżeli wyprowadzą go w kajdankach, co da podstawy do twierdzenia, że wiedział, a może nawet budował i nadzorował całą tę misterną strukturę korupcji i złodziejstwa, to nie powinien nigdy wyjść z więzienia. A i to powinien wtedy dziękować Bogu, że mamy moratorium na karę śmierci. Dawniej takich ludzi, którzy bogacili się na żołnierskich istnieniach, stawiali pod ścianę po przyspieszonym procesie.

– Skąd się wzięła ta banda skorumpowanych do cna oficerów?

– A to akurat jest bardzo proste. Dostawali pagony oficerskie w latach 90. Wtedy armia była niczym innym jak kolejną i bardzo wydajną maszyną do robienia nieuczciwych pieniędzy. W niej funkcjonowali, awansowali, opłacali się wzajemnie, tworzyli sieci towarzyskich powiązań, ciągnęli jeden drugiego w górę, by na samym szczycie tworzyć tę stajnię Augiasza. Biełousow to próbuje czyścić, ale to niemal beznadziejna sprawa.

• • •

Na dodatek, jak opowiada mi znajomy oficer, kończą się zasoby ludzkie. Jeszcze niedawno co miesiąc było 15–20 tys. chętnych do podpisania suto opłacanych kontraktów. Dziś do punktów werbunkowych zgłasza się o wiele mniej chętnych.

– Więzienia są niemal puste. Nie ma tam już przestępców skazanych na mniejsze kary, np. za handel narkotykami. Teraz, gdy takiego złapią, nawet sprawa nie dochodzi do prokuratury. Stawiają przed delikwentem wybór: armia, niezłe pieniądze i czysta kartoteka. Jak zginiesz, rodzina dostanie pokaźną kasę. I jeszcze bohaterem będziesz. Zazwyczaj nie wahają się ani chwili.

– Będzie mobilizacja?

– Nie wiem. Może. Chyba że się przedtem dogadają.

Z kim mamy się dogadywać? – pyta przeciętny Rosjanin. I o czym? O pokoju? Z Ukrainą? Którą? Tą, o której Putin mówi „bratni naród", czy tą, którą czołowy rosyjski propagandysta Władimir Sołowiow chce zetrzeć z powierzchni ziemi?

Obok informacji o kolejnych stratach i trudnej sytuacji na froncie pojawiają się obrazki polityków rosyjskich, którzy ściskają sobie ręce z Amerykanami, rozpływając się w uśmiechach. W tym czasie, kiedy amerykańskie Starlinki naprowadzają precyzyjnie ukraińskie drony lub brytyjskie rakiety na cele w Rosji. Nagle w poważnych lub popularnych rosyjskich mediach

pojawiły się nieoczekiwanie artykuły wskazujące, że Rosja powinna zmienić swoje podejście do wojennych celów, które do tej pory były w ogóle poza dyskusją. W „Russia in Global Affairs" Wasilij Kaszyn mówi wprost, że Rosja jest za słaba, by osiągnąć cele swojej operacji wojskowej,

Ukraina zaś osiągnęła przewagę technologiczną trudną do zwalczenia w najbliższym czasie. W „Moskiewskim Komsomolcu", gazecie popularnej, choć nie nazbyt poważnej, Dmitrij Krasnow oznajmia, że klęska Rosji w wojnie nie byłaby taka zła, ponieważ historia pokazuje, że po każdej porażce Rosja odradzała się silniejsza.

To nowe tony w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej. Jakby ktoś sondował, jak opinia publiczna zareaguje na te wrzutki. Opinia zaś jest co najmniej zdezorientowana.

Widzi spotkanie prezydenta Rosji z żołnierzami, podoficerami i oficerami. Oglądałem je też.

Niemal wszystkie pytania, wystąpienia żołnierzy to wołanie o sprzęt, o techniczne możliwości odpierania ataków przeciwnika, na które nie mają sposobu, skargi na dotkliwość uderzeń. Putin w odpowiedzi uspokajał, przekonywał, zachęcał, że już, już, mają opracowane, zostały wydane polecenia, ułatwienia, będą przełamane biurokratyczne bariery. Rosja ma urządzenia lepsze niż Starlink, ma sposoby na drony z AI, za chwilę będzie nowa broń, pracujemy nad zwiększeniem skali produkcji, jeszcze moment. Uderzamy i będziemy zwiększać siłę naszych uderzeń w odpowiedzi na ich uderzenia, w tym na uderzenia na cywilne obiekty. Będą kolejne techniczne rozwiązania, będziemy zwiększać produkcję…

A ja odnosiłem wrażenie, że prezydent Rosji trochę bezradnie się tłumaczy, bo nie może odpowiedzieć konkretnie i jednoznacznie.

No dobrze, Rosja odbije się od dna, osiągnie sukcesy militarne i polityczne, pójdzie naprzód na Ukrainie, dotrze do granic Donbasu.

– I co dalej? – powtarza moje pytanie Aleksiej, który właśnie przyjechał z frontu. – To dobre pytanie, bo ja nie wiem. Co gorsze, sama Rosja chyba nie wie. Co mamy do zaproponowania ludziom, którzy nie odeszli z armią ukraińską, tylko czekali na nas, kryjąc się po piwnicach. I wreszcie jesteśmy. I co? To w znakomitej większości starcy, emeryci. Jest ich około 12 milionów. Wszystkich ich Rosja musi wziąć na utrzymanie – zapłacić rosyjskie emerytury, zapewnić opiekę lekarską. To nasz obowiązek. Tylko na to trzeba pieniędzy. Ten region, poza odbudowanym Mariupolem, to księżycowy krajobraz. Ile miliardów rubli trzeba tu włożyć, żeby wróciło tu życie? I kto tu przyjedzie? Potrzebni są wysoko wykwalifikowani fachowcy. Skąd ich wziąć? Na razie przyjeżdżają imigranci: Tadżycy, Uzbecy, niechby nawet z rosyjskim obywatelstwem, ale jednak kulturowo obcy i z niskimi kwalifikacjami. Owszem, są chętni rosyjscy fachowcy. Na Syberii. Tylko jak przyjadą tutaj, to tam powstanie wyrwa, której nie da się łatwo zapełnić. Trudna sprawa.

• • •

Pytanie, czy jest bliżej do końca tej wojny, czy dalej, pozostaje bez odpowiedzi. Podobnie zresztą jak to, w jaki sposób Rosja chce ten krwawy konflikt zakończyć. Czy otworzyć nowy etap swojej historii, czy tylko dostosować się do obecnej sytuacji, której zmienić nie potrafi?

– Rosja szuka sobie miejsca przy stole zwycięzców – mówi dziennikarz znanego tygodnika. – Jeszcze niedawno deklarowaliśmy, że chcemy ten stolik wywrócić, że chcemy być jednym z akuszerów nowego świata. Nie chcemy już zatem wywracać stolika, nie chcemy proponować czegoś nowego, o czym jeszcze niedawno wspominano. To już się skończyło.

– Czy warto było zaczynać wojnę w 2022 r.?

– Nie. Warto było nie kończyć w 2014 r. Gdybyśmy wtedy interweniowali, nie byłoby dzisiaj tysięcy trupów.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 53612785c0

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mnogość trupów, które wypadły z szaf Szpitala Południowego w Warszawie, napędziła motor dymisji. Ze stołków spadli pracownicy i członkowie zarządu lecznicy, a na deser robotę straciły dwie wiceprezydentki Warszawy – Renata Kaznowska i Aldona Machnowska-Góra. Donald Tusk, pytany o ewentualne dymisje w KO i rządzie, odpowiedział, że nie będzie uczestniczył w politycznej nagonce na ludzi, którzy za tę sytuację nie odpowiadają. Chwilę później huknął w stronę NFZ i Ministerstwa Zdrowia o decyzjach personalnych, jeśli szefowie instytucji nie przyniosą w zębach gotowych rozwiązań na systemowe patologie. Wykonanie wyroku chwilowo wstrzymano. Możliwe, że do jesiennej rekonstrukcji rządu – nieformalnego startu kampanii wyborczej. Akurat kiedy niewydolność finansowa NFZ zmusi niektóre szpitale do wstrzymania planowanych zabiegów. Ustawienie gilotyny na rynku zawsze wzbudza radość gawiedzi – kłopot polega na tym, że polityczna dekapitacja minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy może premierowi zaszkodzić bardziej, niż się tego spodziewa. Nie tylko wizerunkowo.

Lipcowe panny

Ministerstwo Zdrowia to stajnia Augiasza i trudno szukać wśród jego szefów jednostek wybitnych. To nie brak chęci, a fizyczna niemożność usunięcia skorupy łajna wieloletnich zaniedbań. Poprzednia minister obecnego rządu Izabela Leszczyna odnotowała kilka sukcesów. Za jej panowania wprowadzono rządowy program in vitro, antykoncepcję awaryjną czy pierwszy narodowy program zabezpieczania płodności dla zaraczonych pacjentów. Drobne osiągnięcia utonęły pod falą klasycznego gnoju: długich kolejek, problemów z finansowaniem procedur i napięć wokół podwyżek dla pracowników medycznych. Podczas rekonstrukcji rządu w 2025 r. Donald Tusk zadecydował, że na czele resortu chce mieć fachowca, a nie polityka. Postawił na Jolantę Sobierańską-Grendę. Radczyni prawna, wykładowczyni i prezes zarządu Szpitali Pomorskich miała odpolitycznić ministerstwo i podkręcić tempo reform.

Kwestia odpolitycznienia to puder, bo pani menedżer w latach 2011–2017 pełniła funkcję dyrektorki Departamentu Zdrowia w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego pod kierownictwem marszałka Mieczysława Struka. W kuluarach mówiło się, że właśnie Struk, przewodniczący Koalicji Obywatelskiej regionu pomorskiego, miał wypromować Sobierańską-Grendę na stołek ministra. Jak się okazało – z sukcesem.

Tych niestety trudno szukać po roku pracy pani minister. Owszem, wprowadzono zmiany w diagnostyce, zwiększono dostęp pacjentów do innowacyjnych terapii, pomimo kłopotów finansowych udało się utrzymać niektóre wcześniejsze programy. Niemniej po roku urzędowania resort skierował do konsultacji ok. 12 projektów ustaw, ale rząd przyjął tylko cztery. Wynik słaby jak studencka herbata.

W międzyczasie wybuchła afera ze ścięciem stawek m.in. za tomografię i kolonoskopię, które jak na złość i wbrew oczekiwaniom rządu okazały się popularne wśród pacjentów. Szpitale zaczęły charczeć, że zawieszają zabiegi z powodu braku zwrotu kasy od NFZ za leczenie ponad limit, a nierentowne porodówki – znikać z krajobrazu kraju nad Wisłą. Raporty sejmowe obnażyły drastyczne, zależne od województwa, dysproporcje w dostępie do nowoczesnych leków – w skrajnych przypadkach pacjenci w niektórych regionach muszą czekać na włączenie do programu nawet 1600 dni. Mogłoby się wydawać, że najlepszym momentem do uwalenia minister było apogeum pacjenckiego wkurwu. Tak się jednak nie stało. Dlaczego?

Kłopoty kadr

Obie panie minister rządu Donalda Tuska, choć o różnych kompetencjach, mają kilka cech wspólnych: nie spełniły oczekiwań pacjentów, środowiska medycznego i samego premiera. Dowcip polega tym, że szefa rządu nie kręci zadowolenie pacjentów, o satysfakcji białych kitli nie wspominając. Eksszefowa resortu zdrowia Izabela Leszczyna sama mówiła, że premier odwołał ją nie dlatego, że była złym ministrem, ale by „wyjąć zdrowie z polityki". W tym właśnie cały ambaras: polityka i polityka zdrowotna to dwie różne rzeczy.

Przedministerialny dorobek zawodowy Sobierańskiej-Grendy obejmuje szereg działań konsolidacyjnych na rynku szpitalnym. Udało jej się przeprowadzić 11 przekształceń szpitali marszałkowskich w spółki prawa handlowego przy wsparciu Ministerstwa Zdrowia. Nadzorowała również konsolidację między szpitalami powiatowymi, marszałkowskimi i Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku. Koszty NFZ rosną szybciej niż wpływy ze składki zdrowotnej, co zmusza system do szukania natychmiastowych oszczędności wewnętrznych. Donald Tusk dał minister konkretne zadanie systemowe: zbudowanie planu konsolidacji szpitali. Rządowa reforma nie ma polegać na realnym zwiększaniu dostępności usług, ale na optymalizacji kosztowej. Konsolidacja to narzędzie, które pozwala administracyjnie zamknąć lub ograniczyć deficytową działalność medyczną pod hasłem racjonalizacji wydatków.

Program wsparcia konsolidacji o wartości 1,1 mld zł z Funduszu Medycznego uruchomiono w kwietniu. Szpitale otrzymają dofinansowanie (nawet do 70 mln zł) wyłącznie wtedy, gdy zdecydują się na głęboką restrukturyzację, połączenie lub likwidację nierentownych oddziałów. To budzi opór wśród samorządowców.

Likwidacja małych oddziałów w niektórych lokalizacjach może skutkować tym, że pacjenci będą musieli przejeżdżać setki kilometrów. Przy całym burdelu w ochronie zdrowia utrudnienie dostępu w kolejnych jej obszarach to polityczne samobójstwo.

Zderzenie dwóch stref interesów – rządowej i samorządowej – wyłuszcza problem samej minister zdrowia: Jolanta Sobierańska-Grenda ma wiedzę, ale nie ma politycznych pleców. Wskutek tego działania Ministerstwa Zdrowia przynoszą mizerne efekty. Wszystkie zarzuty o braku dialogu między minister a Trójstronnym Zespołem ds. Ochrony Zdrowia, organizacjami pacjenckimi czy Naczelną Izbą Lekarską można wsadzić między karty pamiętnika. Sobierańska-Grenda nie została powołana do słuchania szlochów, a do cięcia kosztów. I na tym się skupia. Wysadzenie jej z siodła w niczym rządowi nie pomoże.

Ruchy tektoniczne

Usunięcie Jolanty Sobierańskiej-Grendy oznaczałoby sygnał, że premier przyznaje się do kadrowego błędu – i pogrążenie resortu w całkowitym bezkrólewiu w środku największego kryzysu wizerunkowego od lat. Fatalna sytuacja finansowa NFZ, smród afery wokół Szpitala Południowego oraz konieczność natychmiastowego ścięcia rekordowych zarobków niektórych lekarzy sprawiają, że objęcie krzesła elektrycznego w resorcie będzie dla potencjalnego kandydata strzałem nie w kolano, a w potylicę. Ministerstwo Zdrowia to polityczny cmentarz.

Co więcej, dymisja pod naciskiem Tuska udowadnia, że ministerstwo nie miało autonomii i było bezpośrednio sterowane z Kancelarii Premiera.

Nawiasem mówiąc: to prawda. NFZ drugi rok z rzędu działa bez planu finansowego. Dokument nie został podpisany przez ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Brak formalnej akceptacji istotnie ogranicza zdolność do prowadzenia długofalowej polityki finansowej w ochronie zdrowia, w szczególności – kto by się spodziewał? – utrudnia planowanie zwiększenia nakładów.

Opozycja natychmiast wykorzysta ten bajzel do budowania narracji, że szefowa resortu de facto nic nie może, a cała odpowiedzialność spoczywa na premierze. Krótki termin przydatności kolejnych ministrów zdrowia to też sygnał, że premier nie ma długofalowego planu ani zaplecza do uzdrowienia sytuacji. Gangrena postępuje, a recept brak.

IDALIA DUBICKA

Ostrołęka jak Dwie Wieże

Prokuratorzy się orientują

Jak już coś nie idzie, to nie idzie. Po fiasku postawienia Jarosławowi Kaczyńskiemu i spółce zarzutów w sprawie słynnych Dwóch Wież podobny los może spotkać śledztwo w sprawie nie mniej słynnej elektrowni w Ostrołęce.

Chodzi o przepalenie bez sensu za pisowskich rządów coś około miliarda złotych na budowę węglowego bloku energetycznego „Elektrownia Ostrołęka C". O skali niegospodarności alarmowała jako pierwsza Najwyższa Izba Kontroli, a po dojściu uśmiechniętej koalicji do władzy śledztwo ruszyło z kopyta.

Sprawą od początku zajmuje się Prokuratura Regionalna w Białymstoku pod wodzą wielokrotnie opisywanego na łamach „NIE" prokuratora Tadeusza Marka. To pod jego czujnym okiem trójka prokuratorów (dwóch panów i jedna pani) delegowanych do tej sprawy z białostockiej okręgówki miała odnaleźć niezbite dowody, które pozwoliłyby na postawienie zarzutów ówczesnemu ministrowi od energii Krzysztofowi Tchórzewskiemu. A może nawet samemu prezesowi Prawa i Sprawiedliwości, który roztoczył nad inwestycją w Ostrołęce polityczny parasol ochronny.

W lutym tego roku Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, już witał się z gąską, bo prokuratura otrzymała kompleksową opinię biegłych z zakresu energetyki i finansów, więc stawianie zarzutów było tylko kwestią czasu.

Jednak, jak słyszymy od naszych wiewiórek w pałacu sprawiedliwości, po lekturze opinii trójka śledczych jak jeden mąż miała stwierdzić, że sprawa jest według nich dęta, politycznie motywowana i oni nie będą się wygłupiać z zarzutami i w konsekwencji – z aktem oskarżenia.

Prokurator regionalny Marek, czując na plecach oddech Żurka, którego z kolei gonił do roboty sam Tusk, próbował przekonać ich do zmiany decyzji. Nic to nie dało i cała trójka za niesubordynację została cofnięta do pracy w Prokuraturze Okręgowej

w Białymstoku, tracąc przy tym oczywiście finansowe dodatki za tę delegację.

Teraz sprawą zajmuje się czterech prokuratorów z samego matecznika Marka, czyli Prokuratury Regionalnej – a to dzięki temu, że prokurator krajowy Dariusz Korneluk specjalnym zarządzeniem z końca maja tego roku powołał zespół śledczy do kontynuacji tej głośnej sprawy.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ta czwórka ma wiele do stracenia – chyba że uda jej się przeciągnąć śledztwo do jesieni przyszłego roku, a więc do wyborów, i następnie umorzyć postępowanie. W przypadku – coraz bardziej prawdopodobnej – zmiany władzy w Polsce taka decyzja zyska uznanie tych, co przyjdą po Tusku. Jeśli my to rozumiemy, to ci prokuratorzy jeszcze bardziej.

JMP

Rys. MARCIN CHUDZIK

Lekka ręka Tuska

A nie mówiliśmy?

Kilka miesięcy temu jako jedyni napisaliśmy o poufnej wizycie w Korei Południowej, jaką w okolicach Wielkanocy złożył generał Marek Sokołowski, dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych RP („NIE", nr 15/2026).

Ten jeden z najbardziej zaufanych generałów Donalda Tuska nie poleciał tam na urlop ani dla zabawy, ale po to – sugerowaliśmy w tamtej publikacji – żeby rozpytać się o możliwość szybkiego (z czego ten kraj słynie) dostarczenia polskiej armii m.in. rakiet przeciwlotniczych o nazwie KM-SAM.

Łączyliśmy kropki, więc równoległa sugestia „Rzeczpospolitej", że Amerykanie skutecznie nacisnęli Tuska, żeby pożyczył im trochę Patriotów do walki z Irańczykami, bo sami skutecznie wyprzytykali się ze swojego sprzętu, wydała się nam bardzo prawdopodobna. I układała się, niestety, w smutną całość: że w Korei pilnie uzupełniamy braki. I że ten

rząd niemiłosiernie nas zadłuża, ku chwale militarystom i podżegaczom wojennym, a jednocześnie, być może lekką ręką oddaje Wielkiemu Bratu cacka,

które wcześniej od niego kupił za publiczne pieniądze.

Dlatego wcale nie jesteśmy zdziwieni faktem, że sensacyjna od kilku dni informacja, że rakiety do Patriotów rząd również oddał Ukrainie za friko – co sam Tusk zresztą w końcu potwierdził w tonie kasandrycznym – okazała się, niestety, prawdą. To już ostatni gwóźdź do trumny tej koalicji i żaden audyt donacji wojskowych, pokazujący, że pisowcy byli nie mniej gorliwi w robieniu dobrze Zełenskiemu, tego trendu raczej nie odwróci. Grzegorz Braun nadchodzi…

JMP

eprasa.pl 53612785c0

PIP-a z wybitymi zębami

Jak marszałek Czarzasty dba o pracowników

8 lipca weszła w życie reforma Państwowej Inspekcji Pracy (PIP). Nowe przepisy dają inspektorom prawo do wydawania decyzji administracyjnych o ustaleniu stosunku pracy, co oznacza możliwość przekształcania naciąganych umów cywilnoprawnych i kontraktów B2B w umowy o pracę. Na tę okoliczność marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty powołał nowego szefa PIP. Decyzji nie uzasadnił, ale my wiemy swoje.

Nowe

Nowym głównym inspektorem pracy został Janusz Krasoń, zastąpił na tym stanowisku dotychczasowego szefa inspekcji Marcina Staneckiego. Zmiana na stołku wywołała sporo dyskusji. Sejmowa Komisja ds. Kontroli Państwowej wydała negatywną opinię dotyczącą kandydatury Krasonia (zarzucając mu m.in. brak bezpośredniego doświadczenia kontrolerskiego), jednak Czarzasty ostatecznie przyklepał decyzję.

Czy postawienie na czele organizacji mającej chronić prawa pracowników człowieka, który przez trzy kadencje przykładał rękę do uśmieciowienia rynku pracy, jest dobrą wiadomością? Tylko dla przedsiębiorców.

Janusz Krasoń nie wypadł sroce spod ogona. Ma wieloletnie doświadczenie w strukturach Państwowej Inspekcji Pracy. Pełnił funkcję dyrektora Ośrodka Szkolenia PIP we Wrocławiu. Był również posłem na Sejm IV, V i VI kadencji, reprezentując najpierw Sojusz Lewicy Demokratycznej, a następnie Lewicę i Demokratów. To wspominki działalności z tamtego okresu stały się głównym punktem zapalnym podczas posiedzenia sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej, która spuściła po brzytwie jego kandydaturę na głównego inspektora pracy. Człowiek, który w pierwszej dekadzie XXI w. popierał liberalizację rynku pracy, w 2026 r. został postawiony na czele instytucji, która ma za zadanie te śmieciówki likwidować. Brzmi absurdalnie? Nie dla Krasonia.

Gdy gabinet Leszka Millera przejmował władzę jesienią 2001 r., stopa bezrobocia rejestrowanego biła historyczne rekordy, sięgając w lutym 2002 r. poziomu 18,1 proc., co oznaczało, że ponad 3,2 mln ludzi było na lodzie. Ówczesny rząd uznał, że polskie prawo pracy jest „zbyt sztywne" i zniechęca przedsiębiorców do zatrudniania nowych osób. Pod naciskiem lobby organizacji biznesowych przygotowano pakiet zmian pod hasłem „Przede wszystkim przedsiębiorczość". Nowelizacja kodeksu pracy z 2002 r. była drastyczna.

Zawieszono m.in. obowiązek konsultowania ze związkami zawodowymi zamiaru zwolnienia pracownika, ułatwiono wykurwianie osób w wieku przedemerytalnym w ramach zwolnień grupowych i skrócono okresy wypowiedzenia niektórych umów. Z 5 do 20 pracowników podniesiono próg zatrudnienia, od którego pracodawca musiał tworzyć regulamin pracy, regulaminy wynagradzania oraz Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych. Pracodawcy w ramach rozliczenia za nadgodziny zamiast pieniędzy mogli oddać pracownikowi czas wolny. Obniżono wynagrodzenie za czas niezdolności do pracy z powodu choroby. Promowanie szeroko pojętej elastyczności nakręciło trend zastępowania etatów umowami cywilnoprawnymi z gównianym lub żadnym zapleczem zabezpieczeń pracowniczych. Związkowcy argumentowali, że rząd Millera, likwidując podstawowe zdobycze socjalne i bezpieczeństwo zatrudnienia, cofa Polskę do XIX-wiecznego kapitalizmu. Trafnie też przewidziały, że odebranie praw pracowniczych nie zlikwiduje bezrobocia, a przeniesie koszty kryzysu gospodarczego na najuboższych.

Nowy szef PIP przed komisją sejmową bronił tamtych decyzji, tłumacząc je „mądrością etapu", ponieważ Polska była krajem na dorobku. „Dziś, po 20 latach od tamtego okresu, jesteśmy dwudziestą gospodarką świata. Być może m.in. za sprawą tego, że zliberalizowaliśmy rynek pracy"

– argumentował Krasoń. Naturalnie…

Jak na ironię ze smarkatymi skutkami tamtych reform próbował walczyć świeżo usunięty ze stołka szefa PIP Marcin Stanecki. Choć marszałek sejmu nie podał powodu dymisji Staneckiego, nietrudno się domyślić, co przesądziło ten manewr.

Stare

Marcin Stanecki został szefem PIP w czerwcu 2024 r. Obecna na uroczystości zaprzysiężenia minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk podkreślała, że prawo pracy powinno być przestrzegane i respektowane nie tylko po to, żeby chronić pracowników, ale także po to, by chronić uczciwych pracodawców przed nieuczciwą konkurencją. Beton zaczął kruszeć.

Szef PIP przełamał skostniały wizerunek urzędu, angażując się w debaty publiczne, programy edukacyjne i przez komunikację w social mediach. Wyjaśniał zawiłości prawa pracy w sposób zrozumiały dla Kowalskiego i nie szczędził jobów na przepisy, które pozwalały pracownika dymać. Wielokrotnie alarmował, że wielu przedsiębiorców w kraju nad Wisłą zaczęło się bezprawnie kredytować kosztem zatrudnionych. Tylko w 2025 r. w wyniku uregulowania nieprawidłowości płacowych inspekcja wyegzekwowała przeszło 158 mln zł na rzecz pracowników etatowych, a dla przeszło 4 tys. osób pracujących na zleceniach skołowała 2,6 mln zł z tytułu zaniżania minimalnej stawki godzinowej. Liczby mogą nie robić wrażenia, ale jak na niedofinansowaną przez lata instytucję, obarczaną z roku na rok coraz większą liczbą obowiązków, sprawiają radość. Co ciekawe, przez środowisko pracodawców był chwalony za dialog i wspomnianą edukację. Inspekcja przestała być głównie organem kontrolnym.

W międzyczasie pojawiła się reforma PIP. Stanecki uczestniczył w pracach nad ustawą jako czołowy konsultant i nie drapał się po dupie. Naciskał na natychmiastowe egzekwowanie prawa i tłuczenie pałą za ukryte etaty. Nie udało się. Projekt ustawy wykastrowano, co tylko przypieczętowało bezzębność Państwowej Inspekcji Pracy. Zapowiedź Krasonia o „rozsądnym korzystaniu z nowych rozwiązań" można odczytać jako ukoronowanie procesu przymykania oka na patologie rynku pracy.

Liberalna wizja rynku ma swoje pryncypia. Jednym z nich jest wzmacnianie pozycji pracodawcy i zorientowanie na budowanie jego przewagi względem pracowników. 20. gospodarka świata jest w stanie złożyć na ołtarzu chwilowego sukcesu pracownicze ofiary.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Bierzmy przykład z Fidela

Polemizuję z Gadzinowskim o Mazowieckim

Tekst Piotra Gadzinowskiego „Hej, cokoły!" zainspirował mnie do wyrażenia zgoła przeciwnej opinii na temat Tadeusza Mazowieckiego i jego pomnika. Uhonorowanie Mazowieckiego uważam za co najmniej niestosowne – a nawet uwłaczające ofiarom dokonywanej za jego rządów tzw. transformacji ustrojowej. To niemal tak jakby stawiać pomnik Leszka Balcerowicza, który w rządzie Mazowieckiego był odpowiedzialny za całą tę ekonomiczną i społeczną degrengoladę.

Premier Mazowiecki wykazał się siłą spokoju wobec poczynań Balcerowicza – a także w stosunku do enuncjacji swojego ministra od przemysłu Tadeusza Syryjczyka twierdzącego, iż najlepszą polityką gospodarczą państwa jest brak takiej polityki. I co w takim razie ma robić w rządzie minister przemysłu? Chyba tylko przyklaskiwać pomysłom Balcerowicza.

Zgoda: szef rządu nie musi się znać na gospodarce – choć byłoby lepiej, gdyby się znał – jednak powinien brać pod uwagę nastroje i reakcje społeczne i być w stanie korygować politykę swoich podwładnych. Tymczasem Mazowiecki tkwił w okopach obowiązującego wówczas dogmatu, jakoby dla planu Balcerowicza nie było alternatywy.

Alternatywa jest zawsze – tylko należałoby jej poszukać. Nad wyborem takiej alternatywy pracował zespół kierowany przez wiceministra finansów w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego prof. Mieczysława Mieszczankowskiego. W wyniku długich prac zespołu – w których brałem udział – powstał spójny program polityczno-gospodarczy, który, rzecz jasna, został olany przez światek polityczny i komentatorski. Polska norma.

Tzw. szokowa terapia – a ściślej mówiąc, szokowe zniewolenie – została dość szybko oceniona przez większą część społeczeństwa, która w pierwszej turze wyborów prezydenckich wolała oddać swe głosy na nikomu nieznanego Stanisława Tymińskiego, a nie na premiera rządu.

Byłem na pierwszej – i, jak się okazało, ostatniej – konferencji prasowej premiera Mazowieckiego. Z chórku zgodnie piejącego entuzjastyczne peany na jego cześć wyłamało się dwóch dziennikarzy. Pierwszy był red. Niedźwiecki, który zadał niewygodne pytanie o perspektywę finansowania organizacji młodzieżowych – w odpowiedzi Mazowiecki poprosił, żeby go nie męczyć. Reakcja godna męża stanu. Drugim nieprawomyślnym dziennikarzem byłem ja. Spytałem premiera o nową nomenklaturę. Mazowiecki zaczął prychać i odparował, że nomenklatura to była w PRL. Wychodząc z sali, obrzucił mnie pełnym złości wzrokiem.

Po kilku latach spotkałem Tadeusza Mazowieckiego na jednym z publicznych spotkań. Nie pamiętał już tego incydentu i rozmawialiśmy ze sobą jak normalni ludzie. Ale wtedy nie był już premierem.

Mazowiecki na tle późniejszych prawicowych premierów jawi się jako mniejsze zło. Jednak gdybyśmy mieli upamiętniać monumentami mniejsze zła, to w pierwszej kolejności należałoby postawić pomnik Wojciechowi Jaruzelskiemu

za to, że miał mądrość i odwagę, aby wybrać mniejsze zło w postaci stanu wojennego – dzięki czemu uratował nasz kraj przed znacznie gorszymi konsekwencjami.

Fidel Castro przed śmiercią zakazał stawiania mu pomników oraz nazywania czegokolwiek jego imieniem. W Polsce jest jednak inaczej. Karolowi Wojtyle tuziny pomników postawiono jeszcze za życia. Na żadne upamiętnienie nie może za to w Polsce liczyć, nawet po śmierci, papież Franciszek, który nie dość, że nie był Polakiem, to jeszcze wygłaszał herezje niezgodne z linią polskiego Kościoła, a także – antyrosyjskim kursem politycznych elit.

Pomniki stanowią dogodny obiekt do obsrywania przez okoliczne ptaki. Mogą też służyć do oblewania farbami przez tych, którym nie podoba się pomnikowa postać bądź uwieczniony na nim zbiorowy symbol. Aby uchronić godne upamiętnienia postacie, bierzmy przykład z Kuby.

Nie tylko zresztą w odniesieniu do pomników – także w zakresie opieki zdrowotnej.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Szedł Przydacz suchą szosą, aż doszedł za węgieł, a za węgłem kolejka jak za komuny do rzeźnika.

– Za czym kolejka ta stoi? – zapytał Przydacz szorstkim altem Krystyny Prońko.

– Po szarość, po szarość, po szarość – chórem odpowiedzieli kolejkowicze, wśród których była Holandia, na bank upalona jak wiecheć słomy.

– Na co w kolejce tej czekacie? – pytał Przydacz zgodnie z konwencją śpiewogry.

– Na starość, na starość, na starość – stojąca przed Holandią Norwegia mrugnęła chłodnym skandynawskim okiem. – A tak naprawdę czekamy na dostawę makiet.

– Głupia – mruknęła Republika Federalna Niemiec. – Rakiet, a nie makiet.

– Jakich rakiet? – Przydacz udał, że nie wie, chociaż doskonale wiedział jakich.

– Do Patriotów – odpowiedziała Ukraina, zaciągając z białostocka.

– A gdzie jest Polska? – rzucił Przydacz niby nonszalancko, ale nerwy miał napięte jak postronki.

Kolejkowicze odwrócili wzrok, niektórzy zaczęli gwizdać albo kompulsywnie skrolować smartfony.

– Poszła do kibla – skłamała Rumunia.

• • •

Wracał Przydacz polem, lasem, wymachiwał żółtym pasem. Wracał zza węgła polem, borem, wymachiwał czarnym worem. I wrzeszczał, żeby cały świat usłyszał: – My byliśmy wyżej w kolejce, Ukraińcy byli za nami i rząd odstąpił Ukrainie swoje miejsce, tak że Polacy będą dłużej czekać.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 53612785c0

Orka w worku

Szwedzi obiecują, admirałowie salutują, podatnik nurkuje

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zauważyliście zapewne, że w zeszłym tygodniu wasze portfele stały się lżejsze o 20 mld zł. Stało się to w atmosferze podniosłej, przy akompaniamencie uścisków dłoni, które wymieniali: wicepremier Kosiniak-Kamysz, szwedzki premier Ulf Kristersson oraz nasz premier, którego nazwiska nie muszę wymieniać. Byli tam wiceadmirał Piotr Nieć, który dowodzi Centrum Operacji Morskich (operacje te polegają na przesuwaniu pinezek po mapie Bałtyku) oraz jeszcze ważniejszy wiceadmirał Krzysztof Jaworski, zastępca dowódcy generalnego.

A o co chodzi? Podpisano umowę ze szwedzkim Saabem na dostawę trzech okrętów podwodnych klasy A26, zwanych Blekinge. Dla niewtajemniczonych: Blekinge to taki szwedzki odpowiednik naszych Kujaw. Te cuda techniki mają do nas trafić do 2038 r. Za 12 lat, czyli wtedy, kiedy dzisiejszy minister Kamysz będzie już ekspertem w telewizji. Oczywiście ze względu na interes obronności szczegóły umowy są tajne. Ale istnieje też inna opcja – szczegóły te są po prostu śmieszne.

Orka na szwedzkim ugorze

W wyścigu o nasze miliardy w dumnie nazwanym programie „Orka" startowali zawodnicy z Niemiec, Włoch, Francji, Hiszpanii i Korei Południowej. Faworytem był niemiecki ThyssenKrupp Marine Systems – gigant, który zwodował ponad 200 okrętów podwodnych i wie o nurkowaniu wszystko. Niemcy jednak nie wygrali. Wygrali Szwedzi z koncernu Saab.

Gdyby zapytać, ile okrętów podwodnych klasy A26 Blekinge wyprodukował do tej pory Saab, odpowiedź brzmi: zero. Słownie: zero. Ten okręt w naturze nie istnieje. Co więcej, jeśli spojrzymy na całe szwedzkie doświadczenie w podmorskiej dziedzinie, okaże się, że ostatni swój okręt podwodny – klasy Gotland – zwodowali niemal 30 lat temu (mają ich trzy).

Szwedzi potrafią robić wiele rzeczy lepiej od innych. Przyzwoite meble, bezpieczne samochody dla nudziarzy, wódkę Absolut, po której kac jest bardziej europejski, a nawet prezerwatywy. Ale w kwestii budowania nowoczesnych potworów głębinowych ich doświadczenie jest, delikatnie mówiąc, umiarkowane.

Historia wygląda mniej więcej tak. Kluczowa jest tu szwedzka stocznia Kockums, w której w latach 90. powstały te Gotlandy. Sprawy się skomplikowały w 1999 r., kiedy Kockums trafił w ręce niemieckiej stoczni HDW, a ta później znalazła się w grupie ThyssenKrupp Marine Systems. Czyli w uproszczeniu: szwedzkie podwodne kompetencje znalazły się pod kontrolą niemieckiego przemysłu stoczniowego.

Niemcy nie zrobili z Kockums fabryki nowych okrętów podwodnych. Stocznia pracowała przy systemach, komponentach, modernizacjach. Dla Szwedów jednak strategiczny problem był oczywisty: państwo nad Bałtykiem, z własną marynarką, doktryną i strachem przed Rosją, nie miało pełnej kontroli nad najważniejszym miejscem, w którym mogłoby budować własną flotę podwodną.

Saab wkracza

Około 2012 r. Szwedzi doszli więc do wniosku, że tak dalej być nie może. Potrzebna jest stocznia, ludzie, dokumentacja, warsztaty, łańcuch dostaw i wiedza. Na scenę wchodzi zatem Saab. W 2014 r. Saab odkupił Kockums od Niemców z ThyssenKruppa.

W odzyskanym Kockums remontuje się teraz Gotlandy, ale równocześnie rozpoczęto budowę dwóch nowych okrętów podwodnych A26 dla szwedzkiej marynarki wojennej.

Kontrakt ze szwedzką agencją zakupów obronnych Saab podpisuje w 2015 r. Jednostki Blekinge planowano dostarczyć w latach 2022–2024. W 2022 r. okazało się jednak, że sprawy poszły nieco inaczej, niż zakładano. Okrętów nie było. Ale w takich sytuacjach nie mówi się „nie zdążyliśmy", tylko „zaktualizowaliśmy harmonogram". Nowy przewidywał dostawy w latach 2027–2028. Zaktualizowano również cenę. W górę, rzecz jasna. Potem przyszedł rok 2025 i okazało się, że także termin 2028 jest pojęciem raczej kabaretowym niż technicznym. Trudności obiektywne, złożoność projektu, ryzyka technologiczne itd. Nowy termin dostaw szwedzkich A26 przesunięto na lata 2031 i 2033. Koszt programu wzrósł do 25 mld koron szwedzkich.

W efekcie okręt, który dekadę temu miał być bliską przyszłością, stał się przyszłością mglistą. Termin spuchł o dziewięć lat, koszt urósł. A26 wciąż pozostaje konstrukcją niedokończoną.

Gawron pod wodą

Teraz trzeba zadać sobie pytanie zasadnicze: jak to się stało, że firma Saab wywalczyła kontrakt, który w sposób oczywisty wydawał się należeć do Niemców jako najbardziej predestynowanych? Aby to zrozumieć, trzeba nawiązać do polskiej przeszłości związanej z budową „nowoczesnych" korwet Gawron.

Program „Gawron" rozpoczął się w 2001 r. Planowano budowę siedmiu jednostek. Wtedy położono stępkę pod pierwszą, która miała być gotowa w 2005 r., ale się nie udało. Potem w 2009 r. Gawron miał już wejść do służby, ale nie wszedł. W 2012 r. budowę korwety formalnie przerwano, bo koszty, opóźnienia i racjonalizacja wydatków. Pojawił się nawet scenariusz złomowania kadłuba i przerobienia na żyletki. W 2013 r. zdecydowano, że istniejący kadłub zostanie dokończony jako okręt patrolowy. W 2014 r. przeprowadzono techniczne wodowanie. Ostatecznie w 2019 r. okręt przekazano Marynarce Wojennej jako ORP „Ślązak". Program „Gawron" zaczął się więc jako plan budowy nowoczesnej flotylli zaczepnej, a skończył po 18 latach jednym okrętem patrolowym.

Wybór kulturowo najbliższy

I o to właśnie chodzi! Państwo polskie nie szuka przecież okrętów, które pływają, tylko takich, o których można bez końca dyskutować.

Niemcy to naród beznadziejnie nudny. Zbudowaliby te okręty, dostarczyli w terminie i zamknęli temat. A gdzie przestrzeń na radosną orgię biurokracji? Wybór Saaba to genialne posunięcie strategiczne. Szwedzi oferują nam lata fascynujących delegacji do Sztokholmu, niekończące się noclegi w luksusowych hotelach, tysiące pilnych telefonów i radosne „aktualizowanie harmonogramów". Turystyka zbrojeniowa w najczystszej postaci. Ba! Marynarka Wojenna z rozbrajającą szczerością zresztą wyjaśniła, że oferta Saaba jako jedyna „spełniała wymagania". Oczywiście! Naturalnie! Skoro my potrafimy budować jedną motorówkę przez dwie dekady, to szwedzka tradycja opóźnień jest nam kulturowo najbliższa. To duchowe braterstwo partaczy. Chcemy, żeby było długo, nielogicznie i z zakrętami. W mętnej wodzie najlepiej czują się nie tylko okręty podwodne, ale przede wszystkim ci, którzy je za nasze pieniądze zamawiają.

Niewidzialna podwodna armada

Ale ten szwedzki kontrakt natchnął mnie do wizji genialnej w swej prostocie, godnej największych strategów: skoro i tak nie potrafimy niczego zbudować, stwórzmy flotę idealną.

Idealny okręt podwodny jest absolutnie niezawodny. Nie może doznać awarii silnika, wycieku z baterii ani buntu załogi. Nie trzeba go remontować, malować ani ubezpieczać. Nie wymaga paliwa, infrastruktury portowej ani marynarzy. Idealny okręt podwodny to ostateczne rozwinięcie technologii „stealth". Okręt tak niewidzialny, że nie widzą go nie tylko sonary i satelity. Innymi słowy: idealny okręt podwodny to okręt, którego nie ma, ale można przecież udawać, że tak jak to z okrętami podwodnymi bywa, zawsze jest pod wodą.

Wyobraźcie sobie tę grozę na Kremlu: dowiadują się, że Polska posiada 500 takich jednostek. Rosyjscy admirałowie dostają rozstroju nerwowego, bo ich radary pokazują czystą wodę; myślą, że pod falami czai się potęga, której nie da się zatopić.

Nie wiem, czy rozumiecie ten majstersztyk: wystarczy podpisywać przed kamerami kolejne, coraz bardziej absurdalne kontrakty. Niech świat widzi błysk wiecznych piór i uściski dłoni z prezesami zagranicznych koncernów. Nie chodzi przecież o to, żeby wojować, tylko żeby odstraszać. A nic tak nie mrozi krwi w żyłach, jak wróg niewidzialny, nieistniejący i całkowicie nieobliczalny.

Polska od lat przecież specjalizuje się w potędze urojonej. Czas zrobić z tego broń narodową. To najtańsza flota świata: zerowe zużycie paliwa, zerowa emisja spalin i stuprocentowa pewność, że żaden z tych okrętów nigdy nie zatonie.

Bo żeby zatonąć, trzeba najpierw być. My tę fazę z właściwym sobie sprytem po prostu pominiemy.

ROBERT JARUGA

Polityka historyczna jest jak handel używanymi samochodami – każdy zapewnia, że jego egzemplarz jest bezwypadkowy.

Wiosną 2013 r. Niemcy postanowili opowiedzieć światu o II wojnie światowej z własnej perspektywy. Telewizja ZDF wyprodukowała trzyodcinkowy serial „Nasze matki, nasi ojcowie" i wyemitowała go w marcu 2013 r. Oglądalność okazała się imponująca: pierwszy odcinek obejrzało około 6,6 mln widzów, drugi – 6,5 mln, trzeci – ponad 7 mln. Twórcy przekonywali, że chcieli pokazać zwykłych ludzi uwikłanych w machinę wojny. Piątka młodych Berlińczyków miała być symbolem pokolenia wrzuconego w totalitarny system. W zamierzeniu był to obraz odchodzący od prostego podziału na dobrych i złych. Problem polegał na tym, że dla milionów widzów poza Niemcami widoczne było coś jeszcze. Im bardziej serial próbował pokazać dramat przeciętnego Niemca, tym mniej miejsca pozostawiał na odpowiedzialność państwa niemieckiego za wywołanie wojny i systemowy charakter zbrodni III Rzeszy. W Polsce rzucono się zaś na sposób przedstawienia żołnierzy Armii Krajowej.

Formacja miłująca Żydów

Największe emocje wywołały sceny, w których partyzanci z biało-czerwonymi opaskami przedstawieni zostali jako ludzie nieszczególnie kochający Żydów. W Polsce przypominano, że Armia Krajowa liczyła w szczytowym okresie około 380 tys. zaprzysiężonych żołnierzy i była największą podziemną armią okupowanej Europy. Historycy podkreślali więc, że w tak ogromnej organizacji zdarzały się przypadki przestępstw i postaw antysemickich, ale nie były one elementem jej oficjalnej polityki ani programu. W debacie pojawiło się pytanie, czy pokazanie takich postaw jako dominujących nie prowadzi do zatarcia proporcji między państwem, które stworzyło system zagłady, a narodem żyjącym pod brutalną okupacją.

Atmosferę dodatkowo podgrzała decyzja Telewizji Polskiej o zakupie praw do emisji serialu. Jedni twierdzili, że skoro serial i tak obejrzą tysiące Polaków w internecie lub na zagranicznych kanałach, należy go pokazać z odpowiednim komentarzem historycznym. Inni odpowiadali, że płacenie publicznych pieniędzy za produkcję przedstawiającą Polaków w tak kontrowersyjny sposób jest złe.

Medialna burza przez wiele tygodni nie schodziła z pierwszych stron gazet i czołówek serwisów informacyjnych. O serialu dyskutowano w sejmie, radiu, telewizji, gazetach i internecie. Powstawały kolejne analizy historyczne, komentarze publicystyczne i felietony. Każdy chciał się dołożyć do największej od lat awantury o pamięć historyczną.

Najgłośniej protestował Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Kombatanci nie zamierzali czekać, aż serial zostanie pokazany polskim widzom. Już po niemieckiej premierze skierowali list do telewizji ZDF, zarzucając twórcom fałszowanie historii i przypisywanie AK postaw, które nie miały nic wspólnego z jej oficjalnym charakterem. Przypominali, że za pomoc Żydom w okupowanej Polsce groziła kara zbiorowa śmierci i twierdzili, że utożsamianie AK z organizacją kierującą się antysemityzmem oznacza odwrócenie proporcji pomiędzy agresorem a narodem żyjącym pod okupacją.

Twórcy serialu odpowiadali spokojnie, że pokazali jedynie fikcyjną historię kilku bohaterów i nie zamierzali wystawiać historycznego świadectwa całemu polskiemu podziemiu. Tyle że widz nie ogląda filmu z przypisami naukowymi. Kiedy na ekranie pojawiają się biało-czerwone opaski z napisem AK, niewielu odbiorców zastanawia się, czy właśnie ogląda metaforę, czy opis rzeczywistości.

Telewizja Polska znalazła się w wyjątkowo niewygodnym położeniu. Ostatecznie zwyciężył

eprasa.pl 53612785c0

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kolektywny Zachód w Trumpa jaj kołysaniu

Obciach

Zesrała się bida i płacze – to urocze ludowe powiedzenie, które usłyszałam jako dziecko gdzieś na siedleckiej wsi, przypomniało się znienacka, kiedy oglądałam polskich polityków i komentariat ekscytujący się szczytem NATO w Ankarze. Acz uczciwość wymaga odnotowania, że podobny poziom dojrzałej godności wykazała przy tej okazji większość europejskich przywódców.

Przywódca Wolnego Świata ogłosił na wstępie, że sojuszników z Europy ma w dupie i w ogóle by nie przyleciał do Ankary, gdyby nie zaprosił go jego przyjaciel, „wielki lider, lider szanowany na całym świecie", który na dodatek „nazwał budynek moim imieniem".

Prezydent USA zapowiedział też, że zdejmie z Turcji sankcje wynikające z ustawy CAATSA („o przeciwdziałaniu przeciwnikom Ameryki za pomocą sankcji"), które Kongres nałożył w 2020 r. w związku z zakupem przez Erdoğana – w 2017 – rosyjskiego systemu rakietowego S-400. Na amerykańskie protesty Erdoğan odpowiedział wówczas, że rosyjska oferta była korzystniejsza niż ta na Patrioty. Za karę Kongres przywalił raczej umowne sankcje Tureckiej Agencji Przemysłu Obronnego i jej kierownictwu – oraz wykluczył Turcję z programu zakupowego F-35. Teraz Trump obiecał znieść te decyzje, mimo iż Turcja – wbrew żądaniom USA – nie pozbyła się rosyjskich rakiet.

I nie jest to – powiedzmy sobie szczerze – największy przejaw nielojalności Turcji jako sojusznika Zachodu.

Od 2024 r. Republika Turcji jest oficjalnym kandydatem do BRICS – bloku, którego trzon tworzą Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i RPA i którego głównym celem jest zlikwidowanie jednobiegunowego porządku świata zbudowanego przez Amerykę i jej akolitów.

Co zabawniejsze, Turcji odmówiono pełnego członkostwa w bloku (choć wcześniej uzyskały je Egipt, Etiopia, Iran, Arabia Saudyjska i ZEA), albowiem Indie mają jej za złe bliskie związki z Pakistanem, a Chiny – z Ujgurami. Mimo tego Turcja nie strzeliła focha – co de facto uczyniła w stosunkach z UE wobec braku postępów w negocjacjach akcesyjnych – tylko pokornie przyjęła status kandydacki zwany państwem partnerskim. Obok niej status ten mają: Algieria, Białoruś, Boliwia, Kuba, Kazachstan, Malezja, Nigeria, Tajlandia, Uganda, Uzbekistan i Wietnam. Dla państwa, które aspiruje do roli światowej potęgi, może to być towarzystwo – powiedzmy – niehonorowe. A jednak. Widać związek z Rosją i Chinami Erdoğan ceni sobie wyżej niż relacje z Europą.

Obiektywnie dodać należy, że do Unii Europejskiej państwo Erdogana pasuje jak cyrkowa małpa do baletu Czajkowskiego. A w każdym razie do tej Unii, do której zgłosiła akces w 1987 r. Osiągnięcia Erdoğana w dziedzinie praw człowieka, wolności słowa czy demokracji od ponad dekady pozostają w rażącym konflikcie z wartościami, jakie ponoć przyświecają europejskiej wspólnocie (choć dziś raczej trudno je dostrzec).

Branie za mordę przyspieszyło w 2016 r., kiedy to, korzystając z nieudanej próby puczu (o której zapewne wiedział wcześniej), turecki prezydent definitywnie skończył z liberalną demokracją, na dwa lata wprowadzając stan wyjątkowy i skutecznie likwidując opozycję. W tym okresie 160 tys. ludzi zostało aresztowanych, 152 tys. pracowników sektora publicznego zwolniono z pracy, wszelka „nielojalność" został zdławiona w zarodku. Aresztowania bez nakazu, pobicia, tortury i niewyjaśnione zgony z rąk służb państwa stały się codzienną praktyką. Wolność mediów nie istnieje: rząd zlikwidował między 100 (dane oficjalne) a 200 tytułów, zamknął ponad milion stron internetowych. Nieprawomyślność jest karana – i dotyczy to nie tylko pracowników mediów: zwykli ludzie trafiają do więzienia za wypowiedzi w telewizyjnej sondzie ulicznej czy wpisy na socjalach. Wszelka krytyka rządu traktowana jest w najlepszym razie jako „lżenie prezydenta", choć władza często sięga po przepisy antyterrorystyczne, zwłaszcza w stosunku do polityków opozycji. Ci, którym udaje się prześliznąć przez sito – muszą bardzo uważać; posłowie mogą być wykluczeni z obrad i zawieszeni np. za użycie słowa „Kurdystan".

Kurdowie – to totalna obsesja Recepa Tayyipa Erdoğana. Świecki, lewicowy, zbudowany na równości kobiet i mężczyzn kurdyjski ruch autonomiczny był głównym wrogiem państwa tureckiego w latach 70., ale Erdoğan nadał tej koncepcji nowe życie. Ataki jego armii na zamieszkane rzez Kurdów tereny mają wszelkie znamiona czystki etnicznej.

Za to sporo serca Erdoğan okazywał Państwu Islamskiemu: terrorystycznej organizacji wyrosłej z Al-Kaidy. W latach potęgi ISIS Kurdowie byli jedyną siłą, która prowadziła z nią rzeczywistą, lądową wojnę: Powszechne Jednostki Ochrony (YPG) w Syrii i Partia Pracujących Kurdystanu (PKK) w Iraku. Zrozumieli to nawet Amerykanie; lotnictwo USA wspierało YPG podczas półrocznej obrony Kobani przed inwazją Państwa Islamskiego.

Turcja Erdoğana współdziałała wówczas z ISIS. Kupowała od dżihadystów ropę, którą ci rabowali ze złóż na okupowanych terenach, dostarczała im broń, środki transportu, szkolenia, pomoc medyczną i żywność, a także informacje wywiadowcze – i otwarcie pilnowała, żeby Kurdowie nie odnieśli zbyt wielu sukcesów militarnych.

Słabość Erdoğana do ekstremistów islamskich nie kończy się na romansie z ISIS. Prezydent, który zaczynał jako zwolennik budowy kraju nowoczesnego i świeckiego, konsekwentnie spycha Turcję do statusu państwa wyznaniowego, w którym tożsamość narodowa jest zespolona z religijną. Erdoğan aspiruje przy tym do roli światowego przywódcy islamu sunnickiego; stał się swoistym patronem takich organizacji jak Hamas czy Bractwo Muzułmańskie.

Nawiasem mówiąc, świeży romans Donalda z Recepem wprawił w histerię jego poprzedniego chłopaka, Bibiego. Do tego stopnia, że Netanjahu wystąpił w antytrumpowej telewizji CNN, żeby wypłakać się na temat zdrady, jaka go spotkała: „Osobista przyjaźń Trumpa z Erdoğanem nie czyni Turcji krajem przyjaznym dla Ameryki, to jest reżim, który jest zainfekowany Bractwem Muzułmańskim, który nienawidzi Stanów Zjednoczonych, ukrywa terrorystów z Hamasu, wspiera ich i finansuje, wtrącił swoich przeciwników do więzienia, wszystkich wtrąca więcej do więzienia, to nie jest modelowy sojusznik Stanów Zjednoczonych, ale jest nawet gorzej, powiem wprost: grozi, że zniszczy mój kraj, jedno jedyne żydowskie państwo"… Uczciwie powiedziawszy, ta kłótnia kochanków w trójkącie zbrodniarzy wojennych wydaje mi się niezwykle zabawna.

Ale nie aż tak, jak cały ten cyrk w Ankarze, który dobitnie pokazał, że pod przywództwem swoich aktualnych liderów, pozbawionych wizji, odwagi i zasad, Europa jest po prostu śmieszna. Banda szczeniaków, która zlatuje się do pałacu dyktatora, żeby posiedzieć na stopniach tronu zdemenciałego szaleńca, którego odpowiedzialność za słowa i czyny jest na poziomie małpy kataryniarza. Europejscy przywódcy pojechali do Ankary w nadziei, że wytłumaczą Donaldowi Trumpowi, jak fundamentalnie ważna dla przyszłości wspólnoty atlantyckiej jest wojna Rosji z Ukrainą – zamiast tego usłyszeli, że Hiszpania jest beznadziejna, Dania powinna oddać mu Grenlandię, a w ogóle całe NATO to organizacja pasożytnicza, na którą USA płacą „miliardy dolarów za dużo". I wyraźnie nikt się nie postawił – zważywszy na konferencję po szczycie, na której Donald Trump mówił o „potężnej miłości", jaką mu okazywali wszyscy natowscy przywódcy.

Jeśli chodzi o Ukrainę – Europa, wstrzymując dech, usłyszała, że to w zasadzie Trumpa nie obchodzi, bo dzieli ich ocean, ale „mały ptaszek mu powiedział", że Ameryka da Ukrainie licencję na Patrioty, bo na pewno sobie poradzą, skoro tak świetnie im idzie montowanie dronów po garażach i piwnicach.

Ale to wszystko przestało kogokolwiek obchodzić, po tym jak prezydent USA ogłosił znienacka, że jeśli chodzi o niego, to zawieszenie broni z Iranem jest zakończone i ceny ropy poszybowały o 5 proc. w górę w ciągu kwadransa. Choć tak naprawdę nikt nie wie, jak jest naprawdę, bo w następnym zdaniu prezydent USA powiedział, że jego wysłannicy – „dwie pięknoty" mogą sobie dalej negocjować. Tak wygląda zarządzanie światowym kryzysem w wykonaniu Przywódcy Wolnego Świata.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Nasza historia jest najhistoryczniejsza

pogląd, że lepiej pokazać serial i natychmiast poddać go publicznej analizie niż pozwolić, by funkcjonował wyłącznie jako internetowa legenda. Zapadła więc decyzja, że emisję poprzedzi specjalna debata historyczna.

To był moment, w którym sama produkcja zeszła na drugi plan. Znacznie ciekawsze od serialu stały się rozmowy o nim. W studiu TVP zasiedli historycy i publicyści reprezentujący różne środowiska. Spór nie dotyczył już wyłącznie kilku scen. Toczył się o to, kto ma prawo opowiadać historię XX w. i jaką odpowiedzialność ponosi twórca filmu historycznego wobec pamięci milionów ludzi.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Z dużej chmury

Kiedy jednak 17 czerwca 2013 r. TVP1 wyemitowała pierwszy odcinek, okazało się, że rzeczywistość nie zamierza podporządkować się politycznym scenariuszom. Polski widz zrobił bowiem coś wyjątkowo nieuprzejmego wobec wszystkich, którzy od kilku miesięcy tłumaczyli mu, co powinien myśleć. Po prostu usiadł przed telewizorem i obejrzał serial.

Wbrew zapowiedziom części polityków nie doszło ani do masowego bojkotu telewizji publicznej, ani do ulicznych demonstracji pod siedzibą TVP. Średnio każdy z trzech odcinków obejrzało około 3,35 mln widzów. Jak na emitowany w środku tygodnia trzyczęściowy miniserial historyczny był to wynik bardzo dobry.

Jeszcze ciekawsze okazały się badania opinii publicznej. Z sondażu TNS Polska przeprowadzonego dla „Wiadomości" TVP wynikało, że 47 proc. ankietowanych uznało decyzję o emisji serialu za słuszną. Zaledwie 12 proc. twierdziło, że Telewizja Polska nie powinna go pokazywać. Aż 25 proc. badanych przyznało natomiast, że o całej aferze w ogóle wcześniej nie słyszało, zaś kolejne 16 proc. nie miało w tej sprawie żadnego zdania. Innymi słowy, przez kilka miesięcy media żyły konfliktem, którego jedna czwarta społeczeństwa nawet nie zauważyła. I chyba właśnie to było najbardziej bolesne dla zawodowych producentów narodowego oburzenia.

W polityce nikt nie zamierzał jednak bawić się w odcienie szarości. Prawo i Sprawiedliwość zażądało dymisji prezesa TVP Juliusza Brauna. Mariusz Błaszczak mówił o „kłamliwym i antypolskim" filmie oraz o kompromitacji telewizji publicznej, która zdecydowała się wyemitować produkcję w głównym paśmie. Pisowcy zapowiadali również nagłaśnianie sprawy na forum Parlamentu Europejskiego jako przykładu prowadzenia niemieckiej polityki historycznej.

Ostatecznie więc największym sukcesem „Naszych matek, naszych ojców" okazało się nie to, że zmienił obraz historii, lecz że wykazał, że po dziesięcioleciach od „przebaczamy i prosimy o przebaczenie", po dziesiątkach ekspiacyjnych gestów niemieckich kanclerzy można było wywołać burzę o polsko-niemieckiej historii.

Historia bez wyroku

Tyle że zadyma wcale nie skończyła się wraz z napisami końcowymi. W Polsce istnieje bowiem szczególna wiara, że jeśli czegoś nie udało się wygrać w telewizji, gazetach ani dyplomacji, to może uda się przed sądem. Gdy w 2016 r. do sądu trafiał pozew Zbigniewa Radłowskiego i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, od premiery serialu minęły już trzy lata. Kiedy w 2018 r. zapadł pierwszy wyrok, większość widzów zdążyła o produkcji zapomnieć. Zaś w marcu 2021 r., kiedy Sąd Apelacyjny w Krakowie utrzymał obowiązek przeprosin dla ŚZŻAK, świat żył pandemią, a nie niemieckim serialem. A kiedy 18 czerwca 2026 r. w sprawie głos zabrał Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, od chwili, gdy niemiecki widz po raz pierwszy zobaczył „Nasze matki, nasi ojcowie", minęło ponad 13 lat.

Najpierw polski sąd uznał, że twórcy przekroczyli granice artystycznej swobody. Nakazano przeprosiny, wskazując, iż serial zawierał nieuprawnione sugestie dotyczące Armii Krajowej oraz przedstawiał jej obraz pozostający w sprzeczności z ustaleniami historyków. Sąd drugiej instancji utrzymał obowiązek przeproszenia ŚZŻAK, jednocześnie ograniczając możliwość dochodzenia ochrony dóbr osobistych przez pojedynczego kombatanta w zakresie utożsamianym z godnością narodową. Ale kiedy sprawa dotarła do Luksemburga, TSUE zajął się nie fałszowaniem historii, lecz pytaniem, który sąd w ogóle może taką sprawę rozpoznawać i w jakim zakresie. I orzekł, że nie nasz, ale niemiecki.

W dzisiejszym kontekście ostatnich głupich decyzji Zełenskiego spór o „Nasze matki, nasi ojcowie" wydaje się nader aktualny. Pokazuje, że

mechanizm traktowania historii przez polityków pozostał identyczny. Historia znów jest narzędziem polityki. Znowu wybiera się z niej te fragmenty, które najlepiej pasują do bieżącej narracji.

Nadal bohaterów i ofiary próbuje się ustawiać w takim porządku, jaki akurat przynosi największy polityczny zysk.

W sporze między Polską a Ukrainą dotyczącym rzezi wołyńskiej i oceny UPA emocje wywołują nie tyle wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat, ile sposób ich opisywania, upamiętniania i wykorzystywania przez polityków. Wojny potrafią żyć własnym życiem długo po tym, gdy ucichną ostatnie strzały. Wystarczy jeden film albo jedno przemówienie, by wmówić narodom, że mają się o co spierać.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 53612785c0

SŁOWO CZERWONE

Polska bieda

Mam rewolucyjną propozycję: czas na sprawiedliwy podział

Biedny emeryt miesiąc zaczyna od zapłacenia wszystkich rachunków. Za to, co mu zostaje, stara się przeżyć miesiąc. Ale nie zawsze wystarcza. Bierze więc chwilówkę. W bankach nie ma czego szukać, bo tych chwilówek było tyle, że przestał być dla banków wiarygodny. Lichwiarze pożyczają mu chętnie, jeśli ma mieszkanie lub dom na własność. Skąd u niego taki majątek? Bo skorzystał z powszechnego uwłaszczenia. Kupił mieszkanie za ułamek jego wartości. Jego długi są przedmiotem obrotu. Firmy handlują długami. Wreszcie któraś z nich je skupuje, a kiedy wynoszą więcej niż 5 proc. wartości mieszkania lub domu, można już licytować.

Miliony biednych emerytów mają majątek sięgający nawet miliona złotych. Jednocześnie często brakuje im na leki. Kiedy potrzebne jest szybkie badanie USG, tomografia itp. – trzeba płacić. Ludzie przestają uważać na wydatki, kiedy chodzi o zdrowie i życie. Ci, którzy nie mają znajomości, płacą za leczenie. I tak ratując życie i zdrowie, mogą stracić dach nad głową.

Minimum egzystencji (nazywane też minimum biologicznym) to najniższy poziom zaspokojenia potrzeb, poniżej którego występuje biologiczne zagrożenie życia. W Polsce szacuje je Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Próg ten (wyznaczający granicę skrajnego ubóstwa) wynosił niedawno ok. 1037 zł miesięcznie dla osoby samotnej.

Ten rodzaj ubóstwa jest w Polsce coraz bardziej powszechny. Poniżej progu ubóstwa skrajnego (minimum egzystencji) żyje 1,9 do 2 mln osób; ponad 5 proc. populacji kraju. I to ci ludzie są najbardziej zagrożeni bezdomnością.

Długi czynszowe i zadłużenia skutkujące licytacją mieszkania biorą się z biedy. Kupowanie mieszkań z dłużnikami w środku to znakomity interes. Zysk z kupna mieszkania z lokatorem wynika z nabycia nieruchomości poniżej ceny rynkowej (zazwyczaj o 25–40 proc. taniej). Zarobek waha się od kilkudziesięciu tysięcy do nawet kilkuset tysięcy złotych i zależy od tego, czy kupujesz mieszkanie jako inwestycję z długoterminowym najemcą, czy decydujesz się na trudniejszy proces odzyskiwania lokalu – głosi reklama zachęcająca do tego biznesu. Największy zysk jest wtedy, kiedy szybko i sprawnie pozbędziesz się osób, które w tym mieszkaniu – inwestycji – zamieszkują.

Na biedzie i ludzkim nieszczęściu zarabia się błyskawicznie i niemało. Nie trzeba się przy tym specjalnie napracować. Bo po licytacji mamy już tytuł wykonawczy („przysądzenie własności") i żaden sąd nie rozpatruje, czy eksmitowany należy do grupy chronionej przed bezdomnością (niepełnosprawni, dzieci, kobiety ciężarne, ubodzy emeryci, bezrobotni). Bo zlicytowani właściciele nieruchomości nie są chronieni ustawą lokatorską.

Żeby usprawnić proces wyrzucania i uchronić się przed ewentualnymi protestami, tworzy się czarną legendę eksmitowanego. Najlepiej rozpowszechniać informacje, że eksmitowany prowadził hulaszczy tryb życia i teraz dostaje to, na co zasłużył, czyli przytułek.

Rys. WIDGET

W wersji hard ludzie są wyrzucani ze zlicytowanych mieszkań przez specjalnie do tego utworzone firmy, które uciekają się do gróźb karalnych, a nawet przemocy. Jak to możliwe, że niepełnosprawna osoba eksmitowana hulała w najlepsze? Ano sąsiedzi zauważyli, że piła wodę mineralną ze szklanych butelek, korzystała z internetu, a nawet – o zgrozo – paliła papierosy. Czujnemu oku sąsiada nie umknie żaden „luksus".

I tu dochodzimy do pojęcia względności. Okazuje się, że wzrosła liczba osób wydających o co najmniej 50 proc. mniej od średnich wydatków całego społeczeństwa. Dziś takie osoby stanowią już 13,5 proc. ludności Polski. Ten wskaźnik pokazuje, jak bardzo rośnie w Polsce nierówność. Legendarny socjaldemokratyczny premier Szwecji Olof Palme zwykł mawiać, że jego problemem nie jest bogactwo, tylko to, żeby nie było biedy. Pogląd ten, popularny wśród klasy średniej, abstrahuje od oczywistego faktu, że jeżeli jedni z dochodu narodowego wezmą sobie za dużo, to dla reszty pozostaje za mało.

Bezpieczeństwo mieszkaniowe, wyzysk czynszowy, dostęp do leczenia – to dziedziny, gdzie szczególnie dobrze widać katastrofalne skutki rozwarstwienia. Polska jest krajem o największych nierównościach dochodowych i majątkowych w Unii Europejskiej.

W kraju, gdzie 10 proc. ludności przejęło 60 proc. bogactwa narodowego, a 1 proc. zawłaszczył 30 proc. majątku – przyszedł czas na wprowadzenie podatku majątkowego. A dochody na poziomie pana Dawida Kacprzyka należy obłożyć podatkiem co najmniej 60 proc.

Na co to wydać? Na ochronę zdrowia, gdzie brakuje 30 mld zł., na waloryzację zasiłku rodzinnego 800 plus, bo skrajne ubóstwo wśród dzieci – które po wprowadzeniu tego zasiłku na poziomie 500 zł zupełnie zanikło – znowu wzrosło.

Dochód narodowy rośnie. Polska nigdy nie była tak bogata, a 17 mln Polaków i Polek żyje w niedostatku, poniżej minimum socjalnego. Minimum socjalne pozwala nie tylko przeżyć, ale brać udział w życiu społecznym i kulturalnym. Kiedyś zauważyłem schludnie, nawet elegancko ubraną staruszkę, która zbierała puszki na przystanku. Zaoferowałem jej datek, ale odmówiła. „Emerytura mi zasadniczo wystarcza, ale w tym miesiącu chcę sobie sprawić przyjemność i pójść do teatru" – wyjaśniła.

Ten wciąż rosnący dochód narodowy, owoc naszego wspólnego trudu, czas sprawiedliwie podzielić.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ 30-letni obywatel Kolumbii postanowił sprawdzić aerodynamikę własnych pośladków, biegając nago po drodze w Kotowie. Przy okazji w ramach czynnego kontaktu z motoryzacją obił pięściami i skopał dwa auta, generując straty na 6 tys. zł. Badania wykazały, że w organizmie biegacza nie było ani kropli wódki i narkotyków. To najsmutniejszy punkt programu. Facet robił to wszystko na trzeźwo. Podczas badania na ten alkohol Kolumbijczyk obiecał ratowniczce medycznej, że pozbawi ją życia. Trafił do aresztu. Trzy dni po wyjściu na wolność uznał, że pociąg relacji Poznań–Wolsztyn to idealne miejsce na kolejny performance. Zabarykadował się w toalecie i stoczył zwycięski pojedynek z lustrem. Policja w Grodzisku Wielkopolskim straciła cierpliwość. Akta wraz z wnioskiem o deportację trafiły do straży granicznej.

▮ CBŚ rozbiło w Łodzi grupę, która w klubie go-go przy ul. Piotrkowskiej doprowadziła ideę striptizu do bolesnej perfekcji. Przez dwa lata spragnieni widoku cudzych wdzięków byli tam ogołacani znacznie skuteczniej niż tancerki na scenie. Mechanizm był prosty: drink, prochy, a potem drenaż konta – od drobnych po 70 tys. zł. Głównie cudzoziemcy zwabieni obietnicą golizny sami wychodzili z lokalu puści jak bęben i nadzy finansowo. Pokrzywdzonych jest co najmniej 50 osób. Ośmiu „artystów" od nieautoryzowanych przelewów trafiło do aresztu. W Łodzi, jak widać, branża rozrywkowa stawia na kompleksową obsługę: najpierw zawrót głowy, potem całkowite czyszczenie portfela. Klient nasz pan, dopóki ma środki na karcie.

▮ Dwaj rycerze BMW z Białegostoku zostali prawomocnie skazani za to, że w czerwcu 2024 r. postanowili sprawdzić, czy ich maszyny potrafią latać nisko nad ziemią. Jeden wycisnął ponad 314 km/h, drugi – marne 286, choć przepisy kazały im się toczyć nędzne 70. Sąd Okręgowy utrzymał wyrok: po 10 tys. zł grzywny i trzy lata abstynencji od kierownicy dla każdego. To jednak rażąca niesprawiedliwość – skoro był to wyścig. Potraktowanie zwycięzcy i pokonanego tą samą miarą obraża logikę sportową. Ten, który wygrał, nie powinien cierpieć tak samo jak ten, który dał się wyprzedzić. No i powiedzmy sobie szczerze: zapierdalać 300 na godzinę tam, gdzie wolno 70, to nie jest zwykłe wykroczenie. To akt niesamowitej odwagi graniczącej z chęcią szybkiego spotkania się ze Stwórcą, co w tak pobożnym regionie powinno być raczej premiowane niż karane.

▮ Na Zakrzówku, popularnym krakowskim zalanym kamieniołomie i terenie rekreacyjnym, doszło do zbrodni kulinarnej. Grupa rodaków, znudzona monotonią wieprzowiny z dyskontu, postanowiła urozmaicić dietę o gniewosza plamistego. Jest to wąż rzadki i chroniony. Krakowscy smakosze rzucili go na ruszt. W retorsji władze Krakowa w ogóle zabroniły grillowania czegokolwiek w tym rejonie. Teraz urzędnicy apelują, by nie jeść węży, płazów i gadów. Czekam z niecierpliwością na kolejne instrukcje: zakaz pożerania łabędzi i wiewiórek w parkach. I nie można też zapomnieć o tych wstrętnych gołębiach srających każdemu w Krakowie na głowę.

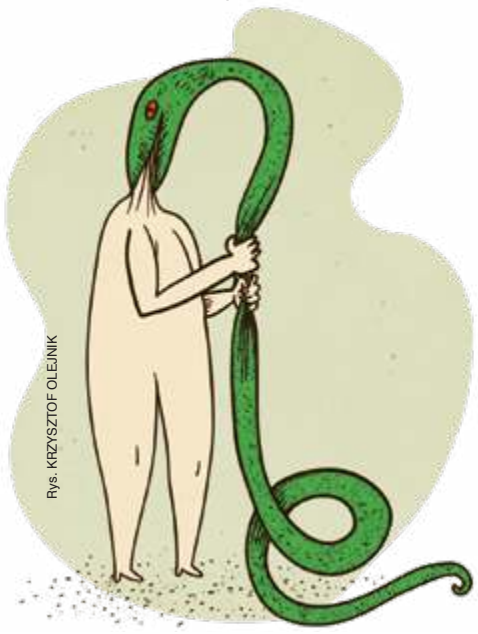
Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

▮ Fontanna na łódzkim Pl. Dąbrowskiego, oddana do użytku w 2009 r. za 16 mln zł, od lat pozostaje przedmiotem sporów publicznych. Obiekt zyskał miano waginy – określenie to wprowadził do debaty ówczesny poseł John Godson. Mimo wielokrotnych zapowiedzi kolejnych władz miasta o przeniesieniu konstrukcji, plany te nie zostały zrealizowane z przyczyn finansowych. Podobny problem wizerunkowy dotyczy Rzeszowa, gdzie od 50 lat kontrowersje budzi Pomnik Czynu Rewolucyjnego, potocznie nazywany wielką cipą. Oba obiekty, mimo licznych prób ich usunięcia lub zmiany formy, stały się trwałymi i rozpoznawalnymi symbolami swoich miast. Ocipieć można.

▮ Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie unieważnił uchwałę Rady Miasta zakazującą używania fajerwerków poza nocą sylwestrową, uznając, że samorząd nie miał kompetencji do wprowadzania takich restrykcji. Oznacza to, że w Krakowie ponownie można legalnie hałasować, o ile nie narusza się innych przepisów. Z tego sądowego przywrócenia wolności do robienia huku nie są zadowolone krakowskie psy, entuzjaści ciszy nocnej oraz miru domowego. Malkontencję przejawia także miejscowa straż ogniowa, która najwyraźniej woli nudę od gaszenia balkonów.

▮ Podczas nocnej interwencji związanej z zakłócaniem ciszy w Zgierzu policjant rasy białej (europeidalnej) postrzelił psa rasy amstaff, który – według wstępnych ustaleń – zerwał się ze smyczy i zaatakował funkcjonariuszy. Ranne zwierzę trafiło do lecznicy weterynaryjnej, a nikt z ludzi nie odniósł obrażeń. To, czy doszło do aktu przemocy wewnątrzgatunkowej, bada Komenda Wojewódzka Policji w Łodzi.

▮ W Zakopanem nic godnego uwagi się nie wydarzyło poza jednym cudem. Baca z Krupówek nie oszukał turysty. W nagłym, niemal patologicznym napadzie uczciwości wydał resztę co do grosza, nie doliczając nawet opłaty klimatycznej za oglądanie zakurzonych kierpców. Świadkowie twierdzą, że doszło do zjawiska nadprzyrodzonego. Kościół na razie wstrzymuje się z wszczęciem procesu beatyfikacyjnego.

▮ Dziennik „Fakt" donosi, że polska gówniarzeria może w wakacje zbić fortunę. Osobnik przed 26. rokiem życia, dzięki zwolnieniu z podatku, ma szansę wyciągnąć nawet 15 patyków na rękę. Budowlaniec za 75 zł za godzinę może z godnością patrzeć, jak schnie tynk, a kelner za pięć dych plus napiwki serwuje zupę z wkładką z własnej pogardy dla klienta. To piękny triumf materii nad duchem. W kraju, w którym machanie łopatą lub tacą bywa wyceniane wyżej niż praca mózgiem, przyszłość rysuje się w barwach jasnych, choć niezbyt wyrafinowanych. O zarobkach dziennikarzy „Faktu" gazeta milczy z litości. I jest to chyba jedyny przejaw profesjonalnej dyskrecji tej redakcji.

▮ Krakowska skarbówka odkryła, że system automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych (ANPR) potrafi nie tylko łapać bandytów, ale i przedsiębiorców. Urzędnicy zaczęli weryfikować, czy auta zadeklarowane jako „wyłącznie służbowe" – co pozwala na odliczenie pełnego VAT-u od paliwa – rzeczywiście nie zbaczają z trasy w stronę marketów lub kurortów. Jeśli oko Wielkiego Brata wypatrzy taką limuzynę w miejscu i czasie niezgodnym z mozolnie preparowaną ewidencją przebiegu, właściciel będzie musiał zwrócić połowę odliczonego podatku. Budowa państwa opresji idzie pełną parą.

▮ 1 lipca rządowy pakiet „Ceny Paliwa Niżej" (CPN) wyparował, a wraz z nim resztki złudzeń kierowców. VAT wrócił do poziomu 23 proc., co zaowocowało skokiem cen o złotówkę na litrze. Eksperci od ropy wróżą drożyznę, a obserwatorzy życia politycznego – rychły koniec obecnej ekipy. Donald Tusk z godnym podziwu zapałem buduje fundamenty pod własną porażkę wyborczą. To rzadka i cenna umiejętność: zaplanować sukces potrafi każdy idiota, ale precyzyjne projektowanie własnej katastrofy to już prawdziwa sztuka, w której obecny rząd osiągnął poziom mistrzowski.

▮ Rada Powiatu Nowodworskiego pożyczyła miejscowemu szpitalowi 2 mln zł na wypłaty dla lekarzy. NFZ wisi placówce 4,5 mln za nadwykonania, więc powiat ratuje sytuację, zadłużając medyków u podatników. Biorąc pod uwagę dzisiejsze apetyty finansowe w służbie zdrowia, te dwa miliony przy 180 łóżkach wystarczą pewnie na opłacenie trzech lekarzy i może jednej salowej na pół etatu. Wniosek: chorowanie w Nowym Dworze Mazowieckim to sport wysokiego ryzyka. Mieszkańcom życzymy przede wszystkim końskiego zdrowia.

▮ Cud nad Wisłą, a raczej nad statystyką. GUS ogłosił, że jest nas 38,8 mln – przyrost o 40 tys. w stosunku do roku ubiegłego, choć rdzenni Polacy rozmnażają się jak żółwie na wybiegu. Tajemnica tkwi w imporcie: mamy już 2,3 mln cudzoziemców, z czego trzy czwarte to Ukraińcy. Wrocław stał się tak międzynarodowy, że co piąty mieszkaniec może nie rozumieć kazań o czystości rasy, a w Warszawie co siódmy przechodzień psuje humor lokalnym patriotom. Stajemy się państwem dwunarodowym, co dla gospodarki jest jedyną szansą, by ktoś miał siłę podać szklankę wody umierającemu narodowi.

▮ Andrzej Bargiel zjechał z Nanga Parbat, udowadniając, że dla Polaka brak tlenu i pionowa ściana to warunki optymalne do uprawiania sportu. Tym samym skompletował koronę pakistańskich ośmiotysięczników, zjeżdżając z nich bez odpinania nart, co jest wyczynem godnym podziwu, choć z punktu widzenia zdrowego rozsądku – kompletnie zbędnym. Wspomnienie tego sukcesu ma jednak mroczniejsze dno. 13 lat temu na tej samej górze pakistańscy talibowie postanowili skrócić męki jedenastu himalaistom, urządzając krwawą jatkę. Wśród wspinaczy znajdowali się wówczas pracownicy tygodnika „NIE". O dziwo, wyszli z tego cało. Bargielowi gratulujemy kondycji, a naszym ludziom – że wtedy im się upiekło.

▮ Państwo polskie w swej nieskończonej trosce o inwentarz wydało komunikat, z którego wynika, że 22-letni żołnierz postanowił skrócić sobie męki egzystencji, patrolując granicę z Białorusią. Żandarmeria i prokuratura ogłosiły, że śmierć „nie miała związku z obowiązkami służbowymi". To doprawdy urocze: facet w mundurze, z państwową bronią w ręku, na państwowej granicy, w trakcie państwowej służby, strzela sobie w głowę, a urzędnicy twierdzą, że to jego prywatne hobby, niemalże rekreacja, która przypadkiem zbiegła się w czasie z noszeniem karabinu.

RJ

PS To, coście wyżej przeczytali, pochodzi z krajowych gazet i mediów. Myśmy tego nie sprawdzali, więc czy to święta prawda, czy zwykłe godanie – tego nie wiemy. Trzeba to czytać z taką ostrożnością, jaką daje człowiekowi życiowe doświadczenie. Redakcja za zgodność tych wieści z prawdą żadnej odpowiedzialności nie bierze.

eprasa.pl 53612785c0

Unijne tańce z talibami

Nasza „wspólnota wartości” i jej nowi przyjaciele

Rada Ministrów ponownie zażądała od sejmu zgody na „przedłużenie czasowego ograniczenia prawa do złożenia wniosku o udzielenie ochrony międzynarodowej” na granicy z Białorusią. Przedłużenie – o kolejne 60 dni – zacznie obowiązywać 20 lipca. Wcześniej – 24 czerwca – Polska uczestniczyła w spotkaniu z przedstawicielami talibów w Brukseli. Rozmowy zorganizowała Komisja Europejska i dotyczyły powrotów do Afganistanu osób zagrażających bezpieczeństwu Europy. Praktyka deportacyjna wskazuje nie tylko na ten wątek. Oznacza to tyle, że w Unii Europejskiej konwencją genewską można się już tylko podetrzeć.

Pakt

W spotkaniu wzięły udział delegacje z 15 krajów UE, m.in. Belgia, Holandia, Włochy, Szwecja – główni sygnatariusze wcześniejszego apelu do Komisji Europejskiej o zacieśnienie współpracy z Kabulem w sprawie readmisji. Z uwagi na fakt, że Unia Europejska nie uznaje władz talibów za legalny rząd Afganistanu, spotkanie miało wyłącznie techniczny charakter i odbyło się poza siedzibą Komisji Europejskiej. Wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Duszczyk zapewnił, że rozmowy toczyły się wyłącznie wobec osób, którym udowodniono poważne przestępstwa na terenie UE. Dodał, że polskie podejście jest bardzo ostrożne, a każdy przypadek trzeba oceniać osobno. Srali muchy.

Polska należała też do grupy 20 państw europejskich, które jesienią ubiegłego roku apelowały do KE o rozpoczęcie macanek z władzami w Kabulu w sprawie organizacji powrotów Afgańczyków na łono ojczyzny. Kraje te przekonywały, że brak możliwości odsyłania osób przebywających nielegalnie w Europie osłabia skuteczność polityki migracyjnej.

Obradom współprzewodniczyła Szwecja – państwo należące do krajów z największą afgańską diasporą w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. Według tamtejszego ministra ds. migracji Johana Forssella ok. 200 obywateli Afganistanu skazanych za poważne przestępstwa oczekuje obecnie w jego kraju na deportację i nijak nie idzie się ich pozbyć. Odpowiadając na zarzuty randkowania z religijnym reżimem, minister przekonywał, że w pewnych sytuacjach rząd musi negocjować również z dyktaturami, aby „chronić szwedzkie interesy”.

Co ciekawe, Polska dotychczas nie miała problemu z wykurwianiem afgańskich uchodźców do domu. W kwietniu

straż graniczna deportowała trzech Afgańczyków samolotem wojskowym do Kabulu przez Uzbekistan. Planowano odesłanie dziewięciu osób, ale Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał dla nich tymczasowe środki ochronne. Mimo to trzech nieszczęśników odesłano.

Były to osoby, które przekroczyły nielegalnie granicę, ale nie popełniły innych przestępstw. Deportacja odbyła się wbrew interwencjom ETPCz i organizacji pozarządowych.

Sama Komisja Europejska przyznaje, że nie dysponuje danymi dotyczącymi liczby Afgańczyków w Europie, którzy dopuścili się poważnych przestępstw lub stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa lokalsów. Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka (FIDH) wraz z ponad 80 innymi organizacjami skierowała do członków UE pismo z ostrzeżeniem, że Taliban nie reprezentuje narodu afgańskiego i nie ma wewnętrznej legitymacji demokratycznej. W glejcie przypomniano też, że w Afganistanie dochodzi do arbitralnych zatrzymań, egzekucji, tortur i innych działań odwetowych. Unia ma to w dupie.

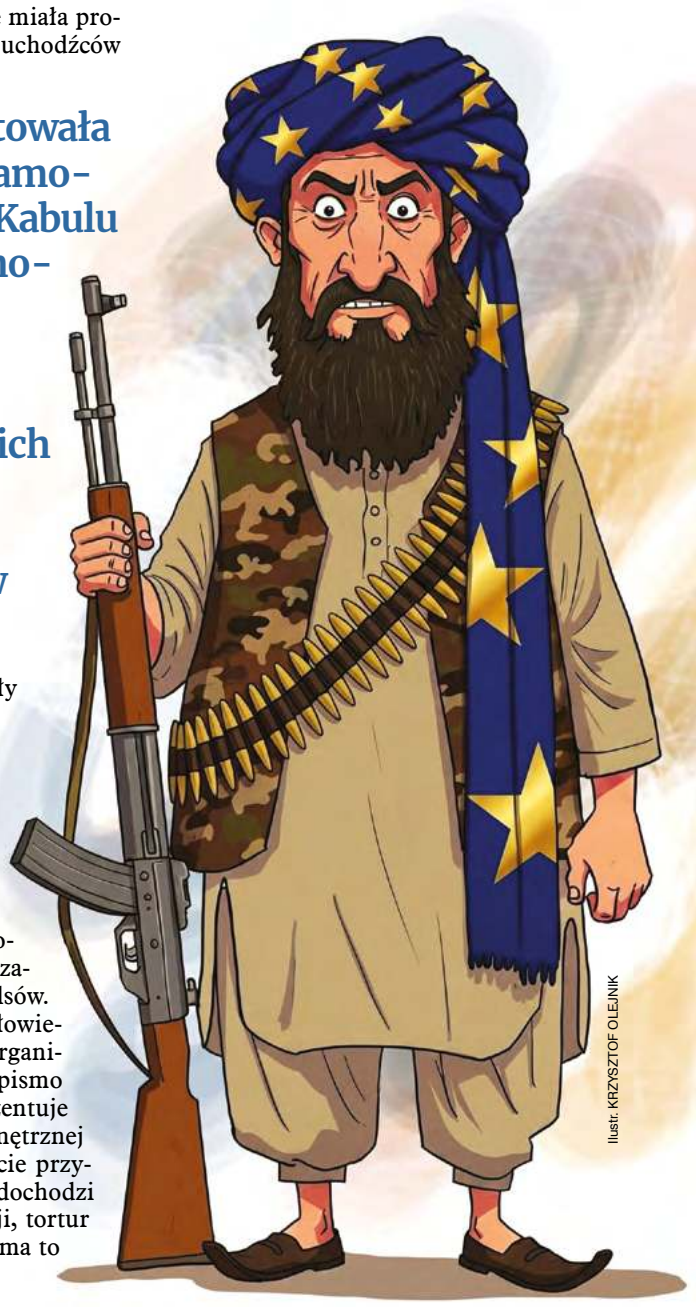
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niemiecka gościnność

Jeszcze dalej poszły Niemcy. Za Odrą stale przebywają i działają nieoficjalni przedstawiciele talibów. Kierują kluczowymi afgańskimi placówkami dyplomatycznymi, mimo że rząd Niemiec nie uznaje ich za legalne władze Afganistanu.

Od października 2025 r. oficjalnym konsulem generalnym w Bonn z ramienia reżimu jest Said Mustafa Hashimi, który nawet występuje w tradycyjnym stroju ruchu islamistycznego. Od marca tego roku ambasadą Afganistanu w Berlinie kieruje chargé d’affaires Nebrasul H. – powołany przez talibów „dyplomata”. Niemcy stały się pierwszym krajem w UE, w którym talibowie de facto rozgościli się w ambasadzie. Mimo to kanclerz Friedrich Merz zarzeka się, że niemiecki rząd nie podaje ręki reżimowi, a jedynie współpracuje na poziomie – a jakże – technicznym.

Innego zdania był Hamid Nangialay Kabiri, były kierownik Konsulatu Generalnego Afganistanu w Bonn, który zrezygnował ze stanowiska po odmowie współpracy z talibami, czego wymagał niemiecki rząd. Kabiri dorastał w czasach, kiedy talibowie rządzili Afganistanem, i nie zamierzał współpracować z terrorystami. Tymczasem niemiecki rząd potwierdził, że do kraju ma przybyć czterech kolejnych „afgańskich dyplomatów”. Co ciekawe, islamistyczna grupa sprawująca władzę w Afganistanie jest izolowana międzynarodowo. Tylko jeden członek ONZ uznał oficjalnie władzę talibów w Kabulu: w 2025 r. zrobiła to Rosja. Talibowie mają więc dziś ambasadę w Moskwie. Mydlenie oczu opinii społecznej przez Berlin wydaje się w tej sytuacji groteskowe.

Quo vadis?

Europa ma prawo i obowiązek chronić swój porządek prawny oraz bezpieczeństwo obywateli – ale nie może tego robić metodami, które czynią ją współodpowiedzialną za totalitarne metody kontroli społecznej oparte na radykalnej interpretacji prawa szariatu i apartheidzie płci.

Przejmując afgańskie placówki dyplomatyczne na świecie, reżim zbiera dane o dysydentach za granicą i mści się na ich krewnych pozostających w Afganistanie. Human Rights Watch stale dokumentuje potajemne punktowe egzekucje odwetowe na dawnych afgańskich pracownikach państwowych – mimo ogłoszonej oficjalnie przez talibów amnestii dla urzędników i żołnierzy poprzednich władz pod wodzą USA. Amnesty International i inne organizacje przekonują, że wszelkie kontakty z talibami powinny koncentrować się na odpowiedzialności i prawach człowieka, a nie na ułatwianiu deportacji do kraju, w którym wykonuje się publiczne chłosty i egzekucje. Europa nie ma czasu rozmawiać o błahostkach, jak prawa człowieka. Zamawia loty czarterowe do Kabulu.

IDALIA DUBICKA

Nowe oblicze faszyzmu ma bardzo naukową nazwę

Identytaryzm

Remigration Summit 2026 – szczyt radykalnej europejskiej prawicy, który odbył się w Porto pod koniec maja – to wydarzenie, któremu media, nie tylko polskie, poświęciły zbyt mało uwagi. W Porto politycy i aktywiści pracowali nad wspólną europejską polityką realizującą cele identytaryzmu – skrajnie prawicowej ideologii dążącej do budowy Europy opartej na etnicznej i kulturowej tożsamości. Tego rodzaju wydarzenie można byłoby zbyć lekceważącym milczeniem, gdyby znajdowało się na marginesie politycznego spektrum. W Porto spotkali się jednak przedstawiciele partii, które w swoich krajach mogą liczyć na poparcie setek tysięcy obywateli. Warto dodać, że portugalskie wydarzenie było drugim z cyklu – pierwsze odbyło się rok wcześniej w Mediolanie.

Aby w pełni zrozumieć doniosłość tego wydarzenia, warto cofnąć się do 25 listopada 2023 r. Tego dnia w Poczdamie odbyło się spotkanie, którego przebieg znamy dzięki pracy dziennikarzy niezależnego portalu Correctiv. W poczdamskiej Villi Adlon pojawili się starannie wyselekcjonowani działacze „Skrzydła” – najbardziej radykalnej frakcji AfD. Tematem spotkania była

koncepcja usuwania z Niemiec nie tylko osób przebywających tam nielegalnie, ale również niemieckich obywateli o nieniemieckim pochodzeniu. Martin Sellner, jeden z liderów środowiska identytarystycznego, zapowiedział ponoć, że „remigracja” mogłaby objąć 5 do 6 mln ludzi.

Spotkania nie udało się utrzymać w tajemnicy, choć wejście kosztowało 5 tys. euro. Doniesienia Correctivu wywołały wielotysięczne protesty w wielu niemieckich miastach – a także zainteresowanie relacjami AfD z identytarystami z Francji, Włoch, Hiszpanii i krajów Beneluksu.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie spowodowało to jednak spadku poparcia dla Alternatywy dla Niemiec. Wręcz przeciwnie: partia Alice Weidel, Tino Chrupalli i Björna Höckego nie tylko utrzymała, ale i zwiększyła notowania; zadyma wokół konferencji w Poczdamie zmobilizowała jej elektorat. Identytaryzm stał się – obok sceptycznego stosunku do pandemicznych obostrzeń – jednym z czynników, które umocniły jej pozycję w niemieckiej polityce.

Dlatego kontekst tego wydarzenia jest kluczowy dla zrozumienia śmiałości i otwartości, z jaką radykalna prawica głosi dziś poglądy, które jeszcze kilka lat temu pozostawały politycznym tabu.

Według organizatorów w spotkaniu radykałów w Porto wzięło udział ponad 600 osób. Wśród uczestników znaleźli się m.in. Słowak Milan Mazurek, polityk związany z nacjonalistycznym Ruchem Republiki, Lena Kotré z AfD, bliska współpracowniczka tego samego Martina Sellnera, który chciał deportować 6 mln nie dość aryjskich Niemców, a także działacze włoskiej Ligi, hiszpańskiego Voxu, Wolnościowej Partii Austrii, holenderskiego Forum na rzecz Demokracji czy brytyjskiego Restore Britain. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych gości był również Björn Höcke, lider AfD w Turyngii, wielokrotnie oskarżany przez przeciwników politycznych o relatywizowanie niemieckiej odpowiedzialności za nazizm i posługiwanie się nawiązującą do niego symboliką.

O ile spotkanie w Poczdamie w 2023 r. było imprezą tylko dla wtajemniczonych, o tyle szczyt w Porto miał – zgodnie z deklaracjami organizatorów – charakter forum ideowego i politycznego. Nie dziwota, że jego konkluzje były formułowane znacznie ostrożniej. W „Akcie Ratowania Europy” – dokumencie podsumowującym obrady – wezwano do całkowitego moratorium na nową imigrację z krajów pozaeuropejskich, ograniczenia prawa do azylu i wiz studenckich, wprowadzenia dalszych restrykcji dotyczących łączenia rodzin, ograniczenia świadczeń socjalnych, i to na poziomie UE.

W preambule organizatorzy odwołują się do pojęć „rdzennych narodów europejskich”, „europejskiej tożsamości” oraz konieczności zachowania „kulturowej ciągłości kontynentu” – to typowa nowomowa ruchów identytarystycznych.

O ile rewelacje Correctiv ze spotkania w Poczdamie wywołały masowe demonstracje, o tyle tegoroczny szczyt w Porto nie zrobił wrażenia na nikim. Europejska radykalna prawica odnalazła w identytaryzmie – jeszcze niedawno ideologii niszowej – sposób tłumaczenia rzeczywistości społecznej wraz z jej kryzysami i napięciami. Narracja ta trafia do wyborców, których nie przekonuje polityczny mainstream.

Remigracja stanowi prostą odpowiedź na problemy generowane przez globalizujący się świat. Co gorsza, niektóre pomysły identytarystów przestały być odchyłem radykalnej prawicy: część ich antyimigranckich pomysłów trafiła do głównego nurtu europejskiej polityki. Identytaryzm nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I to jest naprawdę niepokojąca konkluzja.

KAMIL ŁUKASZEK

eprasa.pl 53612785c0

Zdjęcia MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

Korespondencja z Białorusi

Nazad!

Korzystając z wprowadzonego w lipcu 2022 r. ruchu bezwizowego dla obywateli Polski, postanowiłem odwiedzić Mińsk. Na Białoruś nie kursują z Polski ani pociągi, ani samoloty. Samoloty z powodu sankcji unijnych, pociągi zaś jedynie po to, by utrzymywać pozory – nikt z polskiej władzy nie zaryzykuje skandalicznej przecież współpracy z tym państwem przy uruchamianiu pasażerskich połączeń kolejowych. Niezakłócenie, chociaż w mniejszej niż dawniej liczbie, kursują jedynie składy towarowe.

Ruch osobowy przez granicę jednak funkcjonuje. Codziennie przez Terespol do Brześcia wyprawiane są dziesiątki autobusów rejsowych. Dwa miasta dzieli właściwie tylko Bug, piesza droga z dworca na dworzec zajęłaby może trzy godziny; zajęłaby, gdyby nie granica przepuszczalna jedynie dla ruchu samochodowego.

Pod dworcami w obu miastach stoją taksówki, których stała trasa prowadzi pod drzwi pierwszego oczekującego na kontrolę autokaru. W każdym z nich za przejazd przez samą granicę płaci się około 50 zł – w naszej walucie, w rublach, dolarach czy euro; o ile są wolne miejsca. Przejazd na stronę białoruską zajął mi pięć godzin, a powrotny 12. Kierowcy twierdzą, że miałem pecha, zwykle całość zajmuje trzy, cztery, w dobre dni nawet dwie godziny.

Granica wygląda zwyczajnie, oczekiwać można dodatkowo jedynie pytań o pobyty na Ukrainie i przeglądania galerii czy wiadomości w telefonie.

Do Brześcia przyjechałem parę dni przed Dniem Niepodległości Republiki Białorusi, upamiętniającym rocznicę wyzwolenia Mińska przez armię radziecką. Rozwieszone były flagi, widać było banery przypominające o nadchodzącym święcie.

Przez miasto ciągnie się Bulwar Mickiewicza, krzyżują się z nim m.in. ulice Lenina, Marksa, Komsomolska i Sowiecka. O dziedzictwie kulturowym nie zapomniano, widać wyeksponowane na budynkach przedwojenne szyldy w języku polskim, przy głównym zaś placu – Lenina – stoi nie cerkiew, a kościół katolicki.

Głównym celem mojej podróży był jednak Mińsk, do którego udałem się pociągiem relacji Brześć–Moskwa. Wagon zastałem prawie pusty, ludzie dosiadają się po drodze. Za Berezą Kartuską, w Iwancewiczach do pociągu rodzina wsadza dwójkę dzieci. Podpytuję się – wracają od krewnych do rodziców w Moskwie, starsza dziewczynka ma 11 lat, czeka ją z bratem kilkunastogodzinna podróż.

Mińsk wita stojącym na dworcu Pociągiem Zwycięstwa – mobilną wystawą upamiętniającą wydarzenia z 1945 r. Zbierają się grupy do zwiedzania, bilety na cały dzień wyprzedano już rano. Dla dalszego uświetnienia obchodów święta niepodległości na przeciwległą stronę dworca podjeżdża z kolei zaprzęgnięty w dwie rosyjskie lokomotywy Pociąg Pamięci, który w dwutygodniowych turnusach wozi wybraną w konkursach młodzież po związanych z wojną miejscach w krajach WNP. By upewnić się, że nikt, również ślepi, nie zapomnieli o zbliżających się obchodach, komunikaty o nich nadawane są w pociągach metra przed ostrzeżeniem o odstępie między wagonem a peronem. Warto dodać, że w przeciwieństwie do nazw stacji, które zapisywane są po rosyjsku i białorusku, komunikaty dźwiękowe nadawane są po białorusku i angielsku.

Wybieram się na stare miasto, obejrzeć dom Moniuszków i dworek Wańkowiczów. W tym ostatnim zlokalizowane jest drobne muzeum rodzinnej historii, widać dzieci na warsztatach plastycznych. Wychodząc, natykam się na jedną z odwiedzających. Rozmawiamy o wspólnym dziedzictwie I RP, o stosowaniu białoruskiego w Wielkim Księstwie Litewskim, o historycznym braku konfliktów między Polakami i Białorusinami, o pasach słuckich i o możliwości dzielenia się dziedzictwem wielkich ludzi. Opowiada o jeszcze niedawnych wizytach w Warszawie w ramach wymian kulturalnych z Polską. Zgadzamy się, że gdyby nie wielka polityka, gdyby nie ci na górze, to ludzie natychmiast zażegnaliby obecne spory. Na koniec moja rozmówczyni prosi, żebym nie publikował nawet jej imienia.

3 lipca, w Dzień Niepodległości Białorusi, nie odbywa się defilada. Na błoniach przy Świsłoczy wielki festyn, z kramami, koncertami ludowymi i grillami. Ludzi pełno, pomimo kropiącego deszczu. Trafiam tam, spacerując bulwarami – w pewnym momencie, niedaleko od centrum patriotycznych uniesień, widzę dwie całujące się dziewczyny. W pobliskim Parku Zwycięstwa trwają przygotowania do wieczornych koncertów. Tuż obok nich stoi Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Na kopule budynku powiewa flaga ZSRR. Ekspozycja tego dnia wzbogacona jest o przyjezdną „ciężarówkę zwycięstwa" – obwoźną wystawę, gdzie można sfotografować się z karabinami czy poczytać historie szlaków bojowych poszczególnych żołnierzy.

Część w głównym budynku zaczyna się od drogi do wojny. Jest mowa o wojnie domowej w Hiszpanii i narodzinach faszyzmu w Europie. II RP zaznaczona jest na mapie reżimów faszystowskich i reakcyjnych, z przewrotem majowym jako datą powstania. Niewiele dalej pokazana jest agresja z pierwszego września i wyzwolenie wschodnich terenów Rzeczypospolitej 16 dni później. Ponad ekspozycją zawieszone są chronologicznie nagłówki gazet z epoki, jeden z nich brzmi „Białystok wyzwolony". Dalej, na bardzo schludnej i monumentalnej ekspozycji, często przewijają się mapy z granicami BSRR uwzględniającymi Łomżę.

Mimo licznych dekoracji na święto 3 lipca – flag na ulicach, billboardów, „potykaczy", reklam na wyświetlaczach elektronicznych czy banerów na sklepach – podczas całej swojej wizyty nie widziałem w przestrzeni publicznej ani razu nazwiska czy wizerunku Aleksandra Łukaszenki.

Zakwaterowany jestem na obrzeżach centrum. W pokoju obok mieszka Holender, który wyemigrował tu dla żony. Gospodyni, która na co dzień nie mieszka w tym mieszkaniu, zaprasza swoich zaprzyjaźnionych byłych lokatorów, Daniłę z Kazachstanu i Wlada z Witebska. W nastroju typowym dla nieformalnych spotkań w Europie Wschodniej, z przerwą jedynie na oglądanie świątecznych salw fajerwerkowych, śpiewamy i rozmawiamy o świecie.

Wchodzimy również na politykę. Podobnie jak inne osoby, które miałem okazję spotkać, moi współbiesiadnicy mówią, jak bardzo chcą pokoju i spokoju. Podkreślają też swoją odrębność od sąsiadów ze wschodu. Zastanawiają się, czy możliwe jest, by Polska zaatakowała ich kraj, jako całkowicie nierealną określają sytuację odwrotną – nie myślą nawet o stawianiu się w roli potencjalnego agresora.

Nie twierdzę, że powinniśmy Łukaszenkę uznawać za idealnego partnera do rozmów, ale chwilowo nie ma lepszego. Nie powinniśmy zapominać, że za wschodnią granicą mamy społeczeństwo Polakom przychylne.

Skoro sankcje tu nie działają – na Białorusi nadal jest wiele zachodnich firm, takich jak KFC czy Coca-Cola, choć McDonalda zastąpiono rodzimym odpowiednikiem Mak.by – może warto zacząć budować chociaż takie powiązania jak transgraniczny kolejowy ruch pasażerski. W polskim interesie jest działanie na rzecz zmian w polityce naszego sąsiada – znacznie bardziej niż okopywanie się coraz głębiej po obu stronach frontu (płotu).

Przy wyjeździe z Białorusi stoją banery ostrzegające wyjeżdżających przed sytuacją w Polsce. Straszeni są poparciem dla nietradycyjnych wartości seksualnych, rehabilitacją nazizmu (w związku z sytuacją na Marszu Niepodległości w 2018 r.), niestabilnym finansowaniem służby zdrowia i rosnącymi cenami paliw.

Po długim postoju na moście nad Bugiem na polskim przejściu granicznym jestem trzeci w kolejce. Tłum napiera na okienko, zdenerwowana pograniczniczka woła: „Nazad!". Człowiek stojący przede mną osuwa się na ziemię. Tak przerażająca była perspektywa niewpuszczenia go do Unii Europejskiej.

MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

Trumpolandia

Lider wolnego świata nie ustaje w świętowaniu 250. urodzin swojej ojczyzny. W Dzień Niepodległości udał się pod słynną górę Rushmore, w której wyrzeźbione są twarze czterech prezydentów, 100 lat temu uważanych za najważniejszych: George'a Washingtona, Thomasa Jeffersona, Theodore'a Roosevelta i Abrahama Lincolna. Przed imprezą Donald powiesił na socjalach wygenerowany przez AI wizerunek Rushmore ze złota, z jego szlachetną twarzą zamykającą paradę facetów nieżyjących od 100 do 200 lat – co nie jest taką głupią sugestią. „Nie ma lepszego uzupełnienia dla ikonicznego Mount Rushmore niż 45. i 47. prezydent Stanów Zjednoczonych, Donald Trump" – oświadczył rzecznik Białego Domu Taylor Rogers. W sierpniu z kolei w Waszyngtonie odbędzie się uliczny wyścig samochodowy, którego organizatorzy wypuścili koszulki pamiątkowe po 50 dolków przyozdobione wizerunkiem kierowcy wyścigowego w śnieżnobiałym kombinezonie usadowionego na tronie znanym z pomnika Lincolna i opatrzonego napisem: „One nation, one race". Co może oznaczać: „Jeden naród, jeden wyścig" – ale także „Jeden naród, jedna rasa". *Ein Volk, ein Reich, ein Donald.*

Podczas wystąpienia pod górą, która jeszcze do niego nie należy, Trump przywołał tegoroczny przebój republikanów: komuniści nadchodzą. „W naszym kraju obserwujemy odrodzenie komunistycznej groźby. Komunizm stanowi śmiertelne zagrożenie dla amerykańskiej wolności. To największe zagrożenie dla naszego kraju, wliczając w to I wojnę światową, II wojnę światową, atak na Pearl Harbor czy nawet zamachy z 11 września". Trump nie wymienił komunistów z nazwiska, ale robi to za niego spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson, który ostatnio wygłosił histeryczny spicz o tym, że „wszędzie wyskakują mini-mamdani" – czyli towarzysze ideowi mera Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego (m.in. Janeese Lewis George, która wygrała prawybory na burmistrza Waszyngtonu). „To są marksiści, komunizm i socjalizm to są warianty marksizmu" – orzekł spiker Johnson z właściwą amerykańskiej prawicy erudycją. Kluczowym dowodem komunizmu Mamdaniego jest podatek od „pied-à-terre", czyli, z grubsza biorąc, garsoniery. Domy i apartamenty warte powyżej 5 mln dolków, niebędące podstawowym miejscem zamieszkania, zostały obłożone progresywnym podatkiem majątkowym wynoszącym między 0,8 i 1,3 proc. No, towarzyszu Mamdani, w takim tempie to wy komunizmu nie zbudujecie.

Wszyscy już słyszeli, że Donald zadzwonił do swojego kumpla Gianniego Infantino i powiedział mu, że napastnik drużyny USA Folarin Balogun wcale nie sfaulował Tarika Muharemovića z Bośni i Hercegowiny i nie zasługuje na czerwoną kartkę – po czym szef kazał FIFA karę cofnąć. Zapytany o tę sytuację Trump przyznał z dumą: „Tak, rozmawiałem z człowiekiem, który cieszy się ogromnym respektem i którego respekt, nawiasem mówiąc, wzrósł dziesięciokrotnie". Najzabawniejsze jest jednak to, że Balogun może grać w amerykańskiej drużynie narodowej tylko dzięki „prawu urodzenia", które stanowi, że osoby urodzone w USA są obywatelami USA. Balogun urodził się w USA, gdyż jego mieszkająca w Londynie nigeryjska matka była akurat w Stanach na wakacjach i nie wróciła do domu na czas, bo ze względu na zaawansowaną ciążę nie wpuszczono jej na pokład samolotu. Prawo urodzenia tak oburza Donalda, że w lutym wydał dekret, który je zlikwidował; Sąd Najwyższy unieważnił ten dekret dopiero 30 czerwca.

Kiedy Donald Trump ogłosił, że jego budżet wojskowy w przyszłym roku wyniesie półtora biliona dolarów (w USA to brzmi nawet lepiej: nasz bilion to ich trylion), wrogowie wewnętrzni zaczęli zdradziecko grzebać w wydatkach Pentagonu. Progresywna senatorzyca Elizabeth Warren zaprezentowała metalowy trzpień o długości ok. 1,3 cm i ogłosiła, że „powinien kosztować 46 dol.". I zanim powiecie, że trzeba być debilem – albo klientem amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego – żeby za centymetrowy kawałek pręta z dwiema dziurkami zapłacić 170 zł, to my Wam powiemy, że to wielka okazja. Albowiem tzw. departament wojny za dokładnie taki trzpień płaci firmie TransDigm Group 4361 dol. za sztukę. Kontrakt został podpisany w 2018 r. – czyli za pierwszego Trumpa – a jeden z ówczesnych członków władz tej firmy powiedział Bloombergowi, że wydymanie Pentagonu to „jak zabrać lizaka dziecku". Tak z ciekawości: czy MON wie, ile płaci za trzpienie amerykańskim dostawcom naszej wspaniałej broni?

AWŁ

eprasa.pl 53612785c0

Po robotach sprzątają roboty

Chińczyki-roboty trzymają się mocno. Są *trendy* w tym sezonie politycznym. Podobnie też chińskie samochody elektryczne i chińskie nowości AI. Czyli sztucznej inteligencji, po angielsku zwanej Artificial Intelligence. Zaś Chińczycy zwykle na AI mówią „Shēndù Qiúsuǒ". To określenie pochodzi od nazwy chińskiego przedsiębiorstwa zajmującego się AI.

Jego siedziba jest w Hangzhou. Mieście przecudnej urody. Słynącego z wykwintnej herbaty, porcelany i jedwabiu. Urokliwych krajobrazów, zwłaszcza wokół Jeziora Zachodniego. Byłem tam wielokrotnie i zakochałem się w powabnym Hangzhou.

Marco Polo też tam był. Wcześniej nawet, bo już w XIII w. Pobyt swój odnotował w gigantycznym „Opisaniu świata", barwnie eksponując też urodę miejscowych kobiet. Zrobił tym Hangzhou w Europie fantastyczny pijar. Ma za to tam odlany gustowny pomnik.

Hangzhou jest stolicą prowincji Zhejiang. Zwanej w Europie chińską Bawarią. Bo to jedna z czołówki najbogatszych i komfortowych dla życia chińskich prowincji.

Dziś chińska cywilizacja, szczycącą się już 6 tys. lat nieprzerwanego żywota, swym zagranicznym, opiniotwórczym gościom pokazuje przede wszystkim swoją nowoczesną twarz. Chińskie roboty, chińskie samochody elektryczne i masowe dowody na istnienie chińskiej AI.

Jeszcze niedawno opiniotwórczym przybyszom goszczący ich Chińczycy pokazywali przeróżne panele do produkcji energii słonecznej, gigantyczne farmy wiatrowe i małe przydomowe elektrownie wodne. Wcześniej prezentowali nowe szybkie, wygodne i niedrogie pociągi pasażerskie, wielokilometrowe drogowe tunele, autostrady i gigantyczne mosty. A także pandy. Żywe, śliczne, romantycznie senne.

Kiedy byłem w Chinach pierwszy raz, w roku 2000, parlamentarzystom z Polski pokazywano nowo wybudowane, wypasione, gigantyczne hotele. Po czym zapraszano nas na równie gigantyczne i wypasione bankiety. Dowodzące, że tradycyjny chiński głód to już czas przeszły. Bezpowrotny.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Śpiewa, tańczy, recytuje

Dziś chińskie roboty prawie wszystko potrafią. Prezentowane na wielkiej wystawie w Hangzhou robią nie tylko kawę, jak ich żyjący w Polsce bracia. Serwują też hot dogi, pizzę, ciastka.

Zapraszają nas do gry w szachy, go i warcaby.

Mogą zrobić tradycyjny chiński masaż.

Przypilnować dziecka, babci i dziadka.

Zaopiekować się samotnymi staruszkami.

Ćwiczyć z nami tai chi i wu Shu.

Przytulić i pogłaskać kota.

Wyprowadzić na spacer psa. Także psa robota.

Widziałem chińskie roboty robione na podobieństwo zwierząt. Bardzo popularne roboty psopodobne. Przeznaczone do psiej roboty.

Widziałem roboty transportowe. Przypominające wielbłądy. Tylko bez garbów, aby zmaksymalizować ich powierzchnię do ładunku towarów. Inne, też służące do transportu, podobne były do małych helikopterów i mini taksówek. Wszystkie sterowane rzecz jasna przez AI.

Nie zauważyłem tam robotów serwujących kaczkę po pekińsku i inne klasyczne chińskie dania. Wykonujące rytuał tradycyjnego parzenia herbaty Longjing. Wymagającego bardziej finezyjnych ruchów niż zalanie wrzątkiem chińskiej zupki instant.

Nie zauważyłem też robota do gry w madżonga. Narkotyku dla milionów Chińczyków. Wciągającej w wielodniowe, przerywane jednie krótkimi drzemkami, granie. Może dlatego, że madżong to ciągłe grzechotanie nieustannie mieszanymi kośćmi? Podobnych do tych z gry w domino. Ale prawdziwy madżong to też wielogodzinne plotkowanie w czasie gry. Czynność niezwykle popularna i istotna w Chinach. Plotkowanie o wszystkim i o wszystkich. Czy robot potrafiłby plotkować jak Chińczyk ? Czy Chińczycy skonstruują takiego robota?

Walczy i sprząta

Mają już liczne roboty przydatne do działań na wojnie. Ale nie eksponują ich.

Jednak widziałem tam roboty w kształcie małych okrętów. Podobne do modeli znacznie większych, tradycyjnych, popularnych wciąż kutrów rakietowych i torpedowych. Obsługiwanych nadal przez ludzkie załogi.

Zauważyłem roboty, podobne do używanych w czasie II wojny światowej, znacznie większych torped kierowanych przez ludzi. Komandosów – nurków. Stosowali je skutecznie Brytyjczycy, Włosi, Japończycy.

Pokaż twarz, robocie!

Znakomity polski pisarz Stanisław Lem już w 1964 r., w zbiorze opowiadań „Bajki robotów" opisał zbuntowane przeciwko ludziom roboty. Czy przyszłe, obficie karmione AI, coraz bardziej ludziom podobne roboty, zbuntują się kiedyś przeciwko kaście kontrolujących je ludzi?

We wrześniu 1939 r. mój wujek zgłosił się na ochotnika do polskiej formacji samobójczych „Żywych torped". Niczego nie storpedował, bo wtedy polska marynarka takich torped nie miała. Jak często u nas bywa, jedynie planowała ich przyszły zakup. Dzięki podobnym okrętom robotom marynarka ukraińska skutecznie zablokowała w czarnomorskich portach tradycyjnie działającą marynarkę rosyjską.

Widziałem też drony podobne do stosowanych masowo już podczas najnowszych wojen. A nawet humanoidy i zwierzęcopodobne roboty, też przydatne na współczesnych wojnach. Choć jeszcze nieużywane tam masowo.

W Pekinie pokazywano mi fabrykę zbudowaną przez znaną w Polsce firmę Xiaomi. W której roboty produkują samochody elektryczne. Widziałem już podobną w okolicach Szanghaju. Ta zachwyciła mnie sterylną czystością. Kto sprząta tam po tych pracujących robotach? – zastanawiałem się. Odpowiedź okazała się banalna. Po robotach sprzątają roboty.

W chińskim porcie Ningbo zobaczyłem morze kontenerów w gigantycznym porcie. Podobnym do innych portowych gigantów, jakie już w Chinach widziałem. Ale w Ningbo delegacji z Europy Środkowo-Wschodniej pokazano też projekt równie gigantycznego portu. Obsługiwanego już wyłącznie przez roboty, przy użyciu AI.

Ludzie na miarę robotów

Chińskie roboty zwykle nie mają ludzkopodobnej twarzy. Jedynie kontury głowy. Pustej w środku. Nie można spojrzeć im w oczy. Cmoknąć robota w policzek, tak po hiszpańsku na powitanie, albo zaserwować mu francuskiego buziaka.

Wszystkie te roboty są wcześniej do swych robocich robót zaprogramowane przez ludzi. Coraz częściej przy użyciu AI, czyli inteligencji sztucznej.

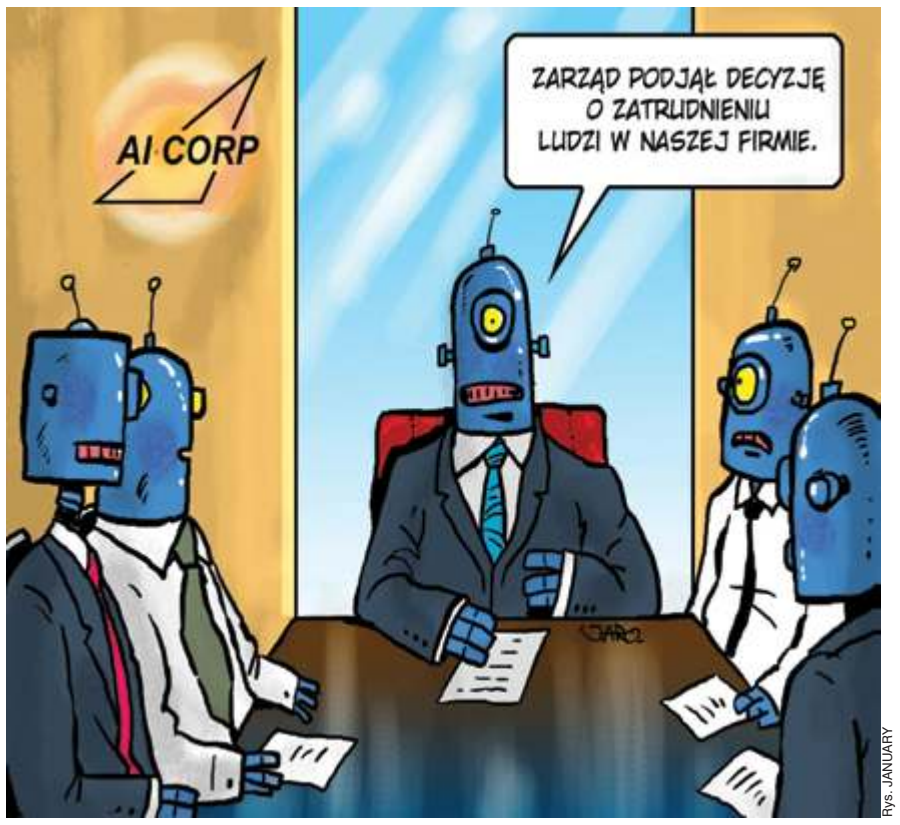

Rys. JANUARY

Zwykle każdy proces produkcji dokonywany potem przez roboty sterowany jest i kontrolowany przez ludzi. Stale obserwujących pracę robotów na monitorach komputerów. Ingerujących w ich robotę przy użyciu konsolet i joysticków. Pracujących w zamkniętych, klimatyzowanych, wygodnych pomieszczeniach. Roboty wykonywane przez roboty wymagają od ludzi sterujących i kontrolujących robotę robotów często nowych kompetencji i cech fizycznych.

Jeśli nowy port w Ningbo powstanie, a jestem o tym przekonany, to będą tam potrzebni zupełnie inni pracownicy niż obecni robotnicy rekrutowani do pracy w tradycyjnych portach. Teraz zwykle są to mężczyźni o posturze strongmanów. Odporni na robotę w trudnych portowych warunkach pogodowych. Od przyszłych operatorów i kontrolerów portowych robotów wymagać się będzie przede wszystkim dobrego wzroku odpornego na długą pracę przy monitorach, sprawnych palców u rąk i żelaznych dup. Taką pracę będą mogły wykonywać także kobiety. Wiele z nich przecież lepszych jest w grach komputerowych od ospałych facetów.

Podobnie będzie na wojnach toczonych przy użyciu robotów. Wiele kobiet zapewne odnajdzie się w roli killerów obsługujących drony, morskie pociski sterowane, pododdziały homoidów czy sfory wściekłych robopsów.

Na razie przeciwko zapowiedziom masowego wprowadzenia AI do obecnie nadal „ludzkiej" branży usług informatycznych call center i teleobsługi procesów biznesowych protestują Filipińczycy. Bo zapowiadane tam masowe używanie AI i robotów w tych branżach to groźba utraty pracy nawet dla 2 mln ludzi na Filipinach. W Polsce z takiej pracy żyje około pół miliona osób.

Entuzjaści masowej robotyzacji i stosowania AI zawsze nam, ludziom, obiecują, że dzięki AI i robotom będziemy mieć więcej dodatkowego wolnego czasu dla siebie. Będziemy mogli więcej rozwijać swe pasje i osobowości. Zwykle nie wspominają, że masowa robotyzacja i AI wymagają zużywania wielu już deficytowych na świecie dóbr. Energii elektrycznej, wody, rzadkich metali i innych surowców. No i będzie to intensyfikować niekorzystne dla ludzi zmiany klimatyczne. Czy zatem warto mieć więcej czasu wolnego, aby żyć w jeszcze bardziej paskudnych warunkach klimatycznych? Pytałem o to w Pekinie podczas debaty o AI z użyciem ludzkich Chińczyków i reprezentantów Europy Środkowo-Wschodniej.

Dobre pytanie – słyszałem od wszystkich. Wszyscy też obiecywali refleksję nad nim.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Ten felieton powstał bez użycia AI.

Intelektualna śmierć syjonizmu

Co dalej z Izraelem?

W głębinach historii naznaczonej krwią, pośród długotrwałego konfliktu ujawnia się prawda, od której nie ma ucieczki: idee rodzą się i umierają. Narody powstają na fundamencie określonych koncepcji, a gdy te fundamenty obumierają, samo istnienie państwa czy systemu staje pod znakiem zapytania. Tak właśnie wygląda dziś syjonistyczny projekt. Z zewnątrz sprawia wrażenie silnego, lecz jego duch opuścił już jego wnętrze, a idea, na której został zbudowany, znajduje się w stanie głębokiego rozkładu.

Każdy uważny obserwator historii ruchu syjonistycznego dostrzega, że opierał się on na micie wyjątkowości oraz na interpretacjach obietnic religijnych, połączonych z kolonialną wizją osadnictwa, która nie przystaje do realiów XXI w. Zasiano ziarno konfliktu na ziemi zamieszkanej przez rdzenną ludność, tworząc projekt polityczny, którego istnienie od początku wiązało się z wypieraniem innych. Idea, która w początkowym okresie wydawała się trwała i zwycięska, zaczęła słabnąć wraz z każdym palestyńskim powstaniem, z każdym głosem sprzeciwu płynącym ze Strefy Gazy i z każdym przebudzeniem światowego sumienia wobec niesprawiedliwości.

Nie jest tajemnicą, że Izrael przeżywa dziś głęboki kryzys tożsamości. Co utrzymuje jego spójność? Strach? Potęga militarna? Wsparcie zagranicznych mocarstw? Wszystkie te czynniki mogą przedłużać jego funkcjonowanie, lecz nie są w stanie stworzyć autentycznej wspólnoty ani trwałej cywilizacji.

Projekt syjonistyczny wyczerpał swój historyczny potencjał i coraz częściej staje się ciężarem zarówno dla tych, którzy go wspierają, jak i dla tych, którzy żyją pod skutkami jego polityki.

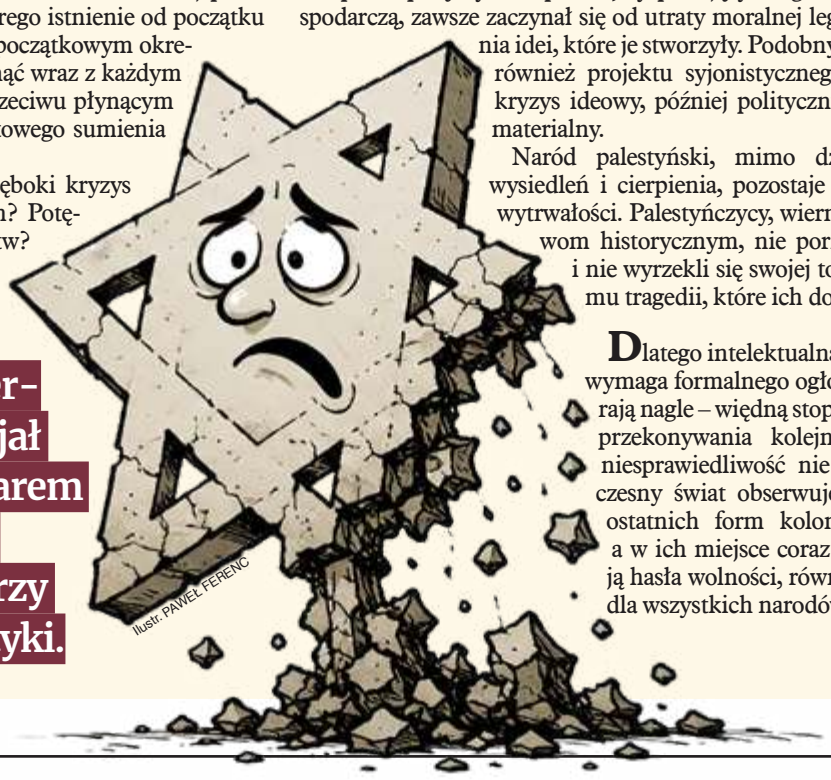

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Na polu nauki, kultury i myśli politycznej syjonizm coraz rzadziej jest przedstawiany jako wzór godny naśladowania. Zamiast być symbolem postępu i uniwersalnych wartości, coraz częściej kojarzony jest z dyskryminacją, segregacją i dominacją jednej grupy nad drugą. Nawet w samym Izraelu pojawiają się głosy kwestionujące przyszłość państwa w jego obecnym kształcie, a wielu żydowskich intelektualistów na świecie dystansuje się od polityki skrajnego nacjonalizmu. Są to symptomy głębokiego kryzysu ideowego, świadczące o erozji fundamentów od wewnątrz.

Także na arenie międzynarodowej coraz trudniej ukryć rzeczywistość za sukcesami dyplomatycznymi czy porozumieniami normalizacyjnymi. Sprzeciw wobec Izraela narasta na całym świecie. Coraz więcej ludzi postrzega politykę okupacji i nierówności jako sprzeczną z wartościami wolności, sprawiedliwości i praw człowieka. Władze, które usiłują ignorować, odkrywają, że społeczeństwa nie zapominają o Palestynie.

Upadek potężnych imperiów, dysponujących ogromną siłą militarną i gospodarczą, zawsze zaczynał się od utraty moralnej legitymizacji i wyczerpania idei, które je stworzyły. Podobny proces może dotyczyć również projektu syjonistycznego: najpierw następuje kryzys ideowy, później polityczny, a dopiero na końcu materialny.

Naród palestyński, mimo dziesięcioleci okupacji, wysiedleń i cierpienia, pozostaje symbolem niezwykłej wytrwałości. Palestyńczycy, wierni ziemi, pamięci i prawom historycznym, nie porzucili swoich aspiracji i nie wyrzekli się swojej tożsamości, mimo ogromu tragedii, które ich dotknęły.

Dlatego intelektualna śmierć syjonizmu nie wymaga formalnego ogłoszenia. Idee nie umierają nagle – więdną stopniowo, tracąc zdolność przekonywania kolejnych pokoleń. Żadna niesprawiedliwość nie jest wieczna. Współczesny świat obserwuje stopniowy zmierzch ostatnich form kolonializmu i dominacji, a w ich miejsce coraz głośniej wybrzmiewają hasła wolności, równości i sprawiedliwości dla wszystkich narodów regionu.

OMAR FARIS

eprasa.pl 53612785c0

Kiedy przeciętny Polak myśli o harcerzu na mszy, oczami wyobraźni widzi kogoś z ZHR. I tu się myli.

Za munduraem księża sznurem

Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej to organizacja, która przypomina połączenie katolickiej przybudówki duszpasterstwa młodzieży z elementami survivalu. Bo jeśli jakaś struktura posiada własnego kapelana naczelnego zatwierdzanego przez Konferencję Episkopatu Polski, organizuje pielgrzymki na Jasną Górę liczone już nie w dziesiątkach, ale tysiącach uczestników, publicznie oddaje się pod opiekę Matki Boskiej, a przy okazji tłumaczy młodzieży, że „wartości się nie zmieniają", to trudno udawać, że chodzi tu wyłącznie o wiązanie węzłów i rozpalanie ogniska bez użycia zapałek.

Ksiądz kapelan jest wśród nas

Zresztą sam ZHR niespecjalnie próbuje tę symbiozę ukrywać. Wszak rok temu organizacja triumfalnie poinformowała, że KEP zatwierdziła ks. hm. Radosława Czerwińskiego na funkcję kapelana naczelnego ZHR. Podkreślano, że chodzi o „wyraz zaufania Kościoła". Bo w skład naczalstwa ZHR wchodzi nie tylko przewodniczący, skarbnik i sekretarz, ale również naczelny kapelan.

Episkopat opisuje funkcję naczelnego kapelana ZHR jako kierowanie pracą duszpasterską w organizacji. Ksiądz więc nie jest tam po to, żeby od czasu do czasu odprawić mszę na obozie i poświęcić grochówkę – on współzarządza. I robi to skutecznie. We wrześniu 2025 r. w 43. Pielgrzymce ZHR na Jasną Górę uczestniczyło około 1200 harcerzy i instruktorów – w wydarzeniu, którego centralnym punktem była oczywiście msza. Całość wyglądała zresztą jak doskonale działający religijny kombinat formacyjny. Były ścieżki programowe, obowiązkowe składki, noclegi „u stóp Jasnej Góry", opowieści o świętych harcerzach. Byli duchowni w mundurach harcerskich i harcerze zachowujący się jak kandydaci do seminarium duchownego. A wszystko to opakowane w retorykę „wartości", „służby" i „tradycji".

Najzabawniejsze jest to, że ZHR od lat próbuje przedstawiać siebie jako coś całkowicie naturalnego i neutralnego światopoglądowo. Ale im bardziej polska młodzież odkleja się od religijności instytucjonalnej, tym bardziej ZHR wygląda jak kapsuła czasu z epoki, gdy proboszcz był ważniejszy od nauczyciela biologii.

Widać to choćby przy okazji pielęgnowania kultu bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego, patrona harcerstwa. Podczas pielgrzymki zorganizowano mu specjalną wystawę i spektakl teatralny. Opowiadano o jego „heroicznej miłości", „męczeństwie" i „niezmiennych wartościach".

Pielgrzymka kosztowała uczestników od 50 do 100 zł od osoby. Organizatorzy przewidzieli nawet system dopłat dla środowisk przyjeżdżających z dalszych części Polski. Stworzono specjalny wzór matematyczny uwzględniający liczbę osób, odległość od Częstochowy oraz współczynnik dla osób jadących pierwszy raz. Państwo polskie od dekad nie potrafi sensownie zorganizować komunikacji regionalnej, ale środowisko religijno-harcerskie potrafiło ustalić algorytm pielgrzymkowej sprawiedliwości społecznej.

Samodzielność w wydaniu ZHR ma wyraźnie wyznaczone granice. Można budować szałasy, rozpalać ogniska, a nawet skonstruować małą elektrownię wodną, jak opowiadał jeden z instruktorów, ale wszystko to ma być zanurzone w katolicyzmie.

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

A wszystko to dzieje się pod szyldem „wychowania". Jakby wciskanie dzieciom od najmłodszych lat wizji świata zatwierdzonej przez Episkopat było neutralnym rozwijaniem charakteru. Gdyby identyczny model zastosowała jakakolwiek organizacja świecka albo lewicowa, konserwatyści krzyczeliby o indoktrynacji. Ale gdy robi to organizacja z lilijką, mundurem i księdzem w kierownictwie, wtedy wszystko staje się „tradycją", „wartościami" i „służbą Bogu".

Lilijka z koloratką

Związek Harcerstwa Polskiego od lat przekonuje, że jest organizacją nowoczesną, otwartą, pluralistyczną i wychowującą młodzież w duchu uniwersalnych wartości. Kiedy jednak przyjrzeć się temu, co ZHP robi, to można dostrzec, iż spod lilijki coraz wyraźniej wystaje ministrancka komża.

Bo oczywiście ZHP ma też naczelnego kapelana, którego nie wybierają harcerze, tylko zatwierdza go KEP. Kadencja aktualnego ma trwać aż do 2030 r. I nie chodzi wyłącznie o ceremonialną funkcję księdza od odprawiania mszy na obozie. Regulamin stanowi bowiem, iż naczelny kapelan „wchodzi w skład Naczelnictwa ZHP" oraz „czuwa nad sprawami religijnymi Związku". Co więcej, zastępcę kapelana można powołać dopiero po uzyskaniu zgody „właściwej władzy kościelnej".

Jak się można domyślać, ZHP też pielgrzymkuje na Jasną Górę. Rok temu w wydarzeniu uczestniczyło „blisko 200 harcerek i harcerzy z całej Polski". Program obejmował wspólne modlitwy, Drogę Krzyżową, Eucharystie, Apel Jasnogórski i „duchowy wzrost".

Szczególnie uroczy jest finansowy aspekt całego przedsięwzięcia, bo uczestnicy płacili po 70 zł składki. Ale coś za coś, bo pielgrzymka ma własne kierownictwo, własne struktury, własną promocję, własne profile społecznościowe, własną komendę i własny aparat organizacyjny. Gdyby ktoś z podobnym rozmachem organizował w ZHP świecki festiwal racjonalizmu albo warsztaty krytyki religii, zapewne bardzo szybko usłyszałby o „łamania neutralności światopoglądowej". Kiedy jednak młodzież maszeruje pod obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, wszystko jest jak najbardziej harcerskie. Widać lilijka lubi wodę święconą.

Jeszcze piękniejszym widowiskiem jest coroczna sztafeta Betlejemskiego Światła Pokoju. Akcja przedstawiana jest jako uniwersalny symbol pokoju i dobra. A że owo „uniwersalne dobro" zaczyna swoją drogę w Grocie Narodzenia Chrystusa w Betlejem, potem trafia do sanktuarium na Krzeptówkach, następnie do parafii, kurii, sekretariatu episkopatu i innych kościelnych instytucji...

O wszystkim stanowi narybek

Na ZHR i ZHP świat zblatowania Kościoła z umundurowanymi dzieciakami się nie kończy, bo organizacji skautowskich ci u nas dostatek. Jest wszak Stowarzyszenie Harcerstwa Katolickiego „Zawisza" Federacja Skautingu Europejskiego. Już sama nazwa organizacji brzmi tak, jakby została wymyślona podczas konkursu „ile razy można użyć słowa katolicki, zanim dzieci uciekną do internetu". Organizacja działa w Polsce od lat 80., ale w ostatnich dwóch latach szczególnie intensywnie przypominała, że bardziej niż ruchem harcerskim jest mobilną wersją duszpasterstwa. Na oficjalnych stronach oraz w komunikatach można znaleźć hektolitry informacji o pielgrzymkach, adoracjach, mszach, dniach modlitw, święceniach sztandarów, formacji duchowej i katolickiej tożsamości.

W 2025 r. Skauci Europy organizowali Dzień Modlitw FSE w Ludźmierzu. Rok później analogiczne wydarzenie odbywało się w Mogile. W obu przypadkach centrum aktywności były nie biegi terenowe czy zdobywanie sprawności, ale msza, modlitwa i religijna formacja. Jednak hipokryzji tu nie ma, bo organizacja pisze o sobie jako o wspólnocie wychowującej „chrześcijan otwartych na Boga".

Diecezje euroskautów cenią i regularnie publikują komunikaty o współpracy, udostępniają im parafie, organizują wspólne uroczystości i pokazują dzieci w mundurkach jako żywy dowód na to, że młodzież jeszcze całkiem nie uciekła od koloratkowego świata.

Skauci Europy bardzo lubią opowiadać o tradycyjnym modelu wychowania i osobnych gałęziach męskich oraz żeńskich. W praktyce oznacza to tyle, że

chłopcy mają być rycerscy, dzielni i gotowi do przewodzenia, dziewczynki zaś skromne, opiekuńcze i duchowo subtelne. Czyli lansują model społeczny, który Kościół sprzedaje od stuleci, tylko opakowany w śpiwór i śpiewnik.

W 2026 r. organizacje takie jak Skauci Europy, Royal Rangers Polska, Stowarzyszenie Harcerskie czy NIKH „Leśna Szkółka" zostały objęte Honorowym Protektoratem Prezydenta RP nad ruchem harcerskim. Sama uroczystość miała wymiar niemal liturgiczny, bo towarzyszyła jej msza w Katedrze Polowej Wojska Polskiego koncelebrowana przez kapelanów organizacji harcerskich i skautowych.

Royal Rangers Polska stanowią przypadek szczególny. Organizacja wywodzi się ze środowisk protestanckich i ewangelikalnych, ale mechanizm działania pozostaje niemal identyczny. Tu również mamy religijną formację, chrześcijańskie wychowanie i opowieści o budowaniu charakteru poprzez duchowość. Różnica polega jedynie na tym, że zamiast katolickiego kadzidła pojawia się bardziej amerykański klimat religijnego coachingu.

Mundur harcerski stał się czymś w rodzaju dekoracji liturgicznej. Dzieci stoją pod sztandarami, księża przemawiają o wartościach, a dorośli wzruszają się widokiem młodzieży, która jeszcze nie została całkowicie przejęta przez internet.

Kościół korzysta na tym układzie podwójnie. Po pierwsze dostaje darmową młodzieżową oprawę wydarzeń. Po drugie buduje sobie kadry przyszłych wiernych, animatorów i działaczy. Bo w czasach gdy liczba seminarzystów spadła z ponad 6 tys. 20 lat temu do mniej niż 1,7 tys. dziś, każda forma utrzymywania młodzieży na kościelnej orbicie staje się bezcenna.

TOMASZ BOROWIECKI

Czapa pana Anatola

Przypominamy: księża nie tylko gwałcą, ale i mordują

Rynek mieszkaniowy nas nie rozpieszcza. Własne mieszkanie to luksus, a takie bez kredytu to już bogolstwo. Kler pod tym względem na tle ogółu radzi sobie całkiem nieźle – ustępując może lekarzom.

Trosk bytowych duchowni nie mają. Przez większość życia mieszkają na służbowych plebaniach, a na starość trafiają do domów księży emerytów. Lepiej urodzeni i bardziej zaradni ostatnią prostą spędzają w nieruchomościach odziedziczonych lub nabytych. Nabycie zazwyczaj odbywa się drogą kupna, ale są też bardziej makabryczne metody.

Standardową procedurą jest przepisywanie mieszkań przez samotnych staruszków. W zamian za odrobinę uwagi i ciepła na stare lata wdzięczni seniorzy – zamiast zostawiać dorobek życia niewdzięcznemu potomstwu – darowują swój majątek klesze. Zawsze uprzejmemu i śpieszącemu z pomocą, w przeciwieństwie do zapracowanych dzieci i wnuków.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sutannowi są mili przynajmniej do czasu finalizacji transakcji. Później bywa różnie. Często podstawą tej relacji jest umowa dożywocia, czyli taka, w której właściciel nieruchomości przenosi jej własność na inną osobę w zamian za zapewnienie mu dożywotniego utrzymania. Oznacza to obowiązek opieki, wyżywienia, mieszkania czy pomocy w codziennym funkcjonowaniu aż do śmierci darczyńcy. W teorii wszystko pięknie, obie strony zadowolone. Gorzej, gdy kostucha zwleka... Wówczas niejeden dożywotni opiekun zaczyna się niecierpliwić i kombinować, jak by tu dzień objęcia pełnej własności przyspieszyć.

Ksiądz Mirosław M. – choć nieruchomość udało mu się zdobyć – jesień życia może spędzić w zimnej celi. 24 lipca 2025 r. w miejscowości Lasopole walnął siekierą swojego wieloletniego znajomego Anatola C. Następnie go podpalił i odjechał w siną dal. Chłop jeszcze żył.

– Generalnie w tym okresie podejrzany był zniechęcony pewnym zachowaniem pokrzywdzonego, który domagał się od niego znalezienia określonego miejsca zamieszkania – tłumaczył eufemistycznie prokurator. Innymi słowy ksiądz Mirek nie mógł się doczekać przejęcia nieruchomości, roszczeniowy dawca uporczywie nie umierał, a w dodatku stawiał tak absurdalne warunki jak zapewnienie dachu nad głową.

Panowie znali się ćwierć wieku, a kilkanaście lat temu zamordowany przepisał na księdza dobytek. Pleban miał mu zapewnić spokojne życie, ale te kilkanaście lat wydało się Mirosławowi M. za długo. Przepełniony chrześcijańskim miłosierdziem duszpasterz postanowił skrócić męki kolegi, spełniając uczynek miłosierdzia także wobec siebie – w końcu należy dbać o własną przyszłość. Taki ksiądz nie ma przecież dzieci, które podają mu na starość szklankę wody, a pieniądze ze sprzedaży gruntów mogą pomóc usunąć tę troskę.

eprasa.pl 53612785c0

Komiczna schizma w Kościele

W jednym z pamiętnych skeczów Monty Pythona nagle zza drzwi wyskakuje trzech przebranych w czerwone habity mężczyzn, z jebitnymi złotymi krzyżami na łańcuchach, mówiąc: „Nikt się nie spodziewa hiszpańskiej inkwizycji! Wśród naszych metod są strach, zaskoczenie, skuteczność, fanatyczne oddanie papieżowi i piękne czerwone mundurki”. Wydaje się, że brytyjscy komicy przewidzieli w ten sposób Bractwo Kapłańskie św. Piusa X, które właśnie kolejny raz zostało wyklęte przez Kościół katolicki za wyświęcenie bez zgody Leona XIV czterech biskupów.

Dzieje grzechu

Francuski abp Marcel Lefebvre, arcybiskup Dakaru i biskup Tulle, odmówił podpisania dwóch dokumentów II Soboru Watykańskiego: konstytucji duszpasterskiej „Gaudium et spes” i deklaracji o wolności religijnej „Dignitatis humanae”. Dotyczyły one dialogu z innymi religiami, włączenia się w przemiany świata współczesnego, generalnie: dostosowania do nowych czasów.

Francuski konserwatysta, przeżywając szok radykalnego paryskiego Maja 1968 i w ogóle przemian obyczajowych na Zachodzie, uznał, że całe to rozpasanie poszło za daleko. 1 listopada 1970 r. powołał bractwo, zwane w skrócie lefebrystami. Szło o to, żeby zachować tradycję kościelną, czego symbolem są msze w rycie trydenckim: po łacinie, z kapłanem przodem do ołtarza i dupą do wiernych. W ogóle symbole są szalenie ważne dla tych twardogłowych katoli.

To zabawne, że ultrakonserwatysta Wojtyła nie miał innego wyjścia, jak wykląć lefebrystów po wyświęceniu w czerwcu 1988 r. czterech biskupów bez jego zgody. Jak pisze Marcin Przeciszewski na łamach Onetu, „wyświęcenie biskupów bez zgody Rzymu jest w prawie kanonicznym obłożone ekskomuniką latae sententiae, czyli karą zaciąganą automatycznie przez sam fakt dokonania czynu. Osoba ekskomunikowana nie może przyjmować sakramentów ani ich sprawować, jeśli jest duchownym; pełnić urzędów, funkcji i posług kościelnych. Stolica Apostolska stwierdziła, że Lefebvre dokonał ponadto aktu o naturze schizmatyckiej, czyli takiego, który narusza jedność Kościoła przez odmowę posłuszeństwa papieżowi”.

Benedykt XVI przywrócił lefebrystów na łono Kościoła, zdejmując ekskomuniki nałożone na wyświęconych przez nich biskupów. W Watykanie trwały rozmowy, równie długie, co raczej bezowocne. Franciszek pozwolił katolikom na spowiadanie się u księży z bractwa, lecz pozostawał dość wstrzemięźliwy wobec jego antysoborowych zapędów.

Lefebryści jednak nie zasypiali gruszek w popiele, zdobywając coraz więcej przyczółków na całym świecie – są obecni aż w 75 krajach, mając dziś setki kapłanów, zakonników czy seminarzystów. Polska to mocny punkt na ich mapie wpływów.

Katol katolowi katolem

Sieć bractwa, która oplata Polskę, jest dość gęsta. Składają się na nie cztery przeoraty, pięć misji, 30 kaplic i jeden kościół w budowie – we Wrocławiu. Msze trydenckie gromadzą wiernych w wielu miejscach, od Szczecina przez Lublin po Opole.

Dodajmy, że nie byle kto popiera bractwo.

Grzegorz Braun, zapytany parę tygodni temu wprost o Lefebvre’a powiedział, że to osoba „świętobliwa”. Stosunek szefa Konfederacji Korony Polskiej do tej postaci jest „pełen czci”, a sam Lefebvre „w normalnych czasach byłby niewątpliwie księciem Kościoła”. Dodał, że możliwość udziału w „największym skarbie, jaki ludzkość ma w doczesności” – czyli mszy trydenckiej – mamy w naszym kraju „na skalę luksusową”, bo nie musimy jechać setek kilometrów. Szczerze mówiąc, wolałabym, aby nasz kraj opływał w inne luksusy…

Miłośnik lefebrystów Sławomir Cenckiewicz ze smutkiem przyjął ekskomunikowanie przez Leona XIV bractwa. Wyraził wątpliwość, czy aby lefebryści nie działali zbyt pochopnie. Poskarżył się też na modernistów w Kościele, traktujących katolików tradycyjnych jako osoby „10. kategorii”. Zakończył swój wpis w serwisie X bojowym wezwaniem: „Niech Niepokalana wspiera ruch katolickiej Tradycji”.

Tomasz P. Terlikowski okazał się wiernym synem Kościoła i napisał parę tekstów, gdzie dostało się schizmatykom, którzy olali instytucje kościelne z Ojcem Świętym na czele. Inni z kolei biadolili, że lefebryści wspierają skrajną prawicę, choć po prawdzie to kogo mieliby wspierać? Elgiebety? Liberałów?

Moje spojrzenie – jako osoby równie bliskiej Kościołowi co Australia Arktyce – jest do bólu trzeźwe. Wiadomo, że papież, jako szef wszystkich szefów, nie może sobie pozwolić, by ktokolwiek podważał – żeby było zabawniej, żądając ślepego posłuszeństwa wobec papiestwa – jego prerogatywy. To konieczne, aby ten biznes mógł dalej jako tako funkcjonować.

Sami lefebryści mnie śmieszą do rozpuku, ich umiłowanie tradycji (a nie – Tradycji) jest na wskroś nowoczesne, a nawet – jak by rzekł Bauman – płynnonowoczesne i skrajnie kontrkulturowe. Czy ktoś ubierze się na czarno i pójdzie na satanistyczną czarną mszę, czy też odzieje się nader schludnie i pójdzie na mszę trydencką – to tak naprawdę dwie strony tego samego medalu. To w obu przypadkach przejaw postępującej indywidualizacji stylów życia, w tym praktyk duchowych, niekoniecznie nawet religijnych.

Próbowałam się przedrzeć przez oficjalne dokumenty bractwa – to, jak by to ująć najdelikatniej, układ zamknięty, koturnowy, mający rojenia wielkościowe. Niewiele z tego wynika, poza – być może – karykaturalnym zawołaniem polityków z „Dnia świra”: moja racja jest najmojsza!

Jedynie słuszne wzorce

Tak sobie pomyślałam, że to nie po chrześcijańsku, naśmiewać się z bufonady lefebrystów. Już nieodżałowany krytyk filmowy Zygmunt Kałużyński zwykł mawiać, że nie ma takiej szmiry, w której nie ma choć minuty wartej obejrzenia. No i nawet symbol zła wcielonego po wsze czasy, hitlerowcy, mieli ładne mundury – choć najlepiej, co wiem od dziecka dzięki „Stawce większej niż życie”, wyglądał w nich Hans Kloss – szyte skądinąd przez niejakiego Hugo Bossa.

Latający cyrk lefebrystów

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Postanawiam zatem, że będę solidaryzowała się z lefebrystami, bo mi się najbardziej podoba ten kapłan odprawiający mszę tyłem do wiernych, którzy przez większość nabożeństwa klęczą. Chciałabym to wprowadzić na moich akademickich zajęciach, co ma rozliczne plusy, które poniżej wyłuszczę.

Po pierwsze, dla wielu moich studentów prawdziwą religią są kosmetyki i fatałaszki (kobiety) lub oglądanie sportu (mężczyźni). Ale tak naprawdę wszystkich łączy nabożny stosunek nie do Jezusa Chrystusa (Allaha czy tam duchów przodków, bo mam studentów z Turcji, azjatyckich byłych republik Związku Radzieckiego czy z Afryki), lecz do technologii ucieleśnianej przez smartfony, streamingi i media społecznościowe. Odwrócona tyłem do studentów nie będę się wkurwiać, że ciągle bawią się gadżetami.

Po drugie, klęczenie przez studentów i studentki przez większość ćwiczeń czy wykładów będzie miało duże walory wychowawcze. Na kolanach wszyscy będą równi wobec kapłanki bogini Nauki w mojej jakże skromnej osobie.

Po trzecie, gdy obserwuje niektóre nieskażone myślą twarze, bez względu na to, czy akurat mówię po polsku, czy po angielsku – wydaje mi się, że nie będzie czyniło większej różnicy, gdy będę mówić po łacinie czy tam w suahili. Nieodmiennie odnoszę wrażenie, że spora liczba osób zgromadzonych w sali siedzi jak na tureckim kazaniu i nawet by nie zauważyła, gdybym komunikowała się z nimi przy pomocy tam-tamu lub strumienia świadomości lecącego telepatycznie z mojej głowy do ich mózgownic.

Wszystko byłoby na miejscu, tylko niech lefebryści nie każą mi ubierać się w tradycyjne szaty liturgiczne. Co najwyżej, aby potwierdzić swoją wierność papieżowi (jedynemu prawdziwemu, czyli polskiemu), mogę zakładać koszulkę lewackich punkowców z The Analogs z wizerunkiem JP2 w kaszkiecie i słowami: „Błogosławię ten zespół”.

KAT

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Zabijanie dzieci na masową skalę* ***to stara praktyka komunizmu, nazizmu, a obecnie liberałów.***

ks. Janusz Chyła, X, 24 czerwca

■ ***Przed ewangelią zamyka się nie inteligencja, lecz pycha.*** *Przyjmuje ją nie głupota, lecz pokora.*

ks. Daniel Wachowiak, X, 4 lipca

■ *Pseudoartyści spalili krzyże na festiwalu muzyki metalowej w Chwałkowie w Wielkopolsce. (…) Wiemy o tym, że nabrało to tempa zaraz po tych tak zwanych czarnych marszach, po tych protestach kobiet, które protestowały przeciwko faktowi dyskryminowania ich w przestrzeni publicznej, co jest po prostu fikcją.* ***To nabrało wówczas takiego tempa, iż przyzwyczajono opinię publiczną do tego, że profanować można wartości chrześcijańskie i nawet można to robić z odwagą.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 30 czerwca

■ *Ważnym zadaniem Kościoła jest przypominanie i obrona prawdy o absolutnej wyjątkowości człowieka w świecie stworzonym.* ***Kościół ma też narzędzia do tego, by wyznaczyć drogę do korzystania z AI. Nie w każdej sytuacji to narzędzie będzie przecież wykorzystywane dla dobra. Nietrudno znaleźć już dziś przykłady niemoralnych zastosowań sztucznej inteligencji. W dyskusji o swoistym „kodeksie AI” nie będzie wielu więcej aktorów o takim doświadczeniu pracy z człowiekiem jak Kościół.***

ks. Łukasz Piotrowski, Idziemy.pl, 2 lipca

■ *Wyzwania, jakie AI stawia przed wspólnotą Kościoła, można by ująć w trzech punktach.* ***Po pierwsze, warto używać sztucznej inteligencji, by szerzyć religijną wiedzę, by katechizować, formować. Ten aspekt nie jest nowy. (…) Po drugie, Kościół może docierać do inżynierów AI, szczególnie tych, którzy są chrześcijanami i sami szukają w swojej pracy etycznych drogowskazów. Można by to nazwać ewangelizacją sztucznej inteligencji poprzez docieranie do jej twórców. Po trzecie, wobec różnego rodzaju idei transhumanistycznych, które chciałyby wykorzystywać genetykę i AI, by nie tylko ulepszać człowieka – homo sapiens, ale wręcz zastąpić go jakimś nowym gatunkiem.*** *Kościół ma wielkie zadanie głoszenia, że człowiek został stworzony na obraz Boży i powołany do życia wiecznego.*

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 3 lipca

■ ***Kościół katolicki naucza, że aktu małżeńskiego nie można oddzielić od prokreacji. Z tego właśnie powodu uznaje zapłodnienie in vitro za moralnie niedopuszczalne.*** *Nauczanie to chroni zarówno przed naruszeniem Bożego porządku, jak i przed konkretnymi, praktycznymi konsekwencjami procedur laboratoryjnych, takimi jak pomyłka, która miała miejsce w Warszawskim Szpitalu Południowym. (…)* ***Sprawa nie dotyczy jednak tylko samego aktu małżeńskiego. Chodzi również o godność dziecka. Dziecko nie może być traktowane jako produkt techniki czy realizacja pragnienia rodziców – jest darem, a nie prawem, które można egzekwować za pomocą technologii.***

o. Jacek Gniadek, X, 3 lipca

KLECHA

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Później okazało się, że była to już druga próba zabójstwa. Niespełna miesiąc wcześniej ks. Mirosław wywiózł swojego dobrodzieja do lasu, ale nie zdążył wykonać planu, bo w okolicy pojawił się świadek.

Księżulo zawiózł pana Anatola na plebanię i wezwał pogotowie, a służbom tłumaczył, że przypadkowo uderzył poszkodowanego tylną klapą samochodu.

Zdeterminowany klecha nie odstąpił od swoich zamiarów i wkrótce znów podjął próbę, tym razem skuteczną. Po niemal roku usłyszał dwa zarzuty.

– Jeden zarzut dotyczy zdarzenia z czerwca 2025 r. i został zakwalifikowany jako usiłowanie zabójstwa przy użyciu tępego narzędzia, prawdopodobnie siekiery, poprzez zadanie uderzenia w tył głowy. Natomiast drugie zdarzenie już z lipca 2025 r., kiedy doszło do faktycznego zabójstwa pokrzywdzonego pana Anatola, który w wyniku rozległych obrażeń od uderzeń również siekierą i podpalenia, zmarł – mówił PAP prok. Andrzej Stojak.

Księdzu grozi od piętnastaka do dożywocia. Czy sąd z dożywocia wywiąże się równie skrupulatnie jak ks. Mirosław wobec pana Anatola, zobaczymy.

Troszczy się natomiast o swojego podopiecznego abepe Adrian Galbas, który w kazaniu na pogrzebie ofiary księdza mówił: „Anatolu, przepraszam cię. Mirosław jako chrześcijanin jest moim bratem, a jako ksiądz tej diecezji jest moim synem, którego się nie wyrzekam. Modlę się za niego; żeby przejrzał, żeby się nawrócił i żeby podjął pokutę”…

A za pokutę różaniec, dycha na Caritas i przeniesienie do innej parafii. Galbasowi trzeba jednak przyznać, że na tle kolegów wypadł nieźle, bo uznał odpowiedzialność moralną Kościoła za tę zbrodnię – ale przecież coś takiego nie zdarza się co dzień. Nawet Dziwisz musiałby sobie coś przypomnieć w takich okolicznościach.

No cóż, nie każdy ksiądz ma takie możliwości jak biskupi, nawet ci skompromitowani. Jak donosi Onet, bepe Grzegorz Kaszak, odesłany na zieloną łączkę w związku ze skandalami w diecezji sosnowieckiej, zapewnił sobie miękkie lądowanie.

Biskupowi emerytowi przysługuje dożywotnie mieszkanie i ludzie do pomocy, a zapewnienie wiktu i opierunku seniora leży w gestii diecezji. 62-letni Kaszak, czując, co się święci, sam zapewnił sobie kwadrat na emeryturę, w ostatnich dniach rządów podpisując umowę na ustanowienie nieodpłatnej służebności z Caritas Diecezji Sosnowieckiej. Z diecezjalnego konta dorzucił do tego 180 tys. zł na remont emeryckiego gniazdka.

No i tu pojawia się kontrowersja, bo Caritas nie jest od pomagania biednym biskupom z 10-tysięczną emeryturą, ale od opieki nad naprawdę potrzebującymi – choć w praktyce, jak to z organizacjami charytatywnymi bywa, jest różnie. Kaszak zadbał o swoją przyszłość mniej dramatycznie niż Mirosław M., ale ubodzy korzystający z pomocy Caritas mogą poczuć pewne ukłucie zazdrości. Dla nich jest miska zupy, a dla ekscelencji apartament. Trzeba jednak docenić łaskawość biskupa, bo przecież mógł zabić.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 53612785c0

Świętość mniemana

Gdyby ktoś dziwił się, że Mentzen ma tylu zwolenników

Rys. TOMASZ WIATER

W Polsce od ponad 30 lat opowiada się obywatelom bajkę o własności. O tym, że po 1989 r. skończył się czas, w którym państwo mówiło człowiekowi, co może zrobić z własnym polem, własnym warsztatem, własnym samochodem i własnym kawałkiem ziemi. Przez dekady słyszeliśmy, że komunizm upadł, że własność prywatna jest fundamentem gospodarki, że artykuł 64 konstytucji gwarantuje ochronę prawa własności, że państwo stoi po stronie obywatela, przedsiębiorcy, właściciela. Potem obywatel bierze koparkę, wykopuje ziemię na jednym należącym doń spłachetku ziemi, ładuje ją na własną ciężarówkę albo wynajęte auto, przewozi na drugą działkę, który również należy do niego, i nagle odkrywa, że cała ta świętość działa mniej więcej tak samo jak obietnice tanich mieszkań, szybkiej służby zdrowia i prostych podatków.

Paragraf wie lepiej

Bo kiedy człowiek, który płaci podatki, składki, VAT, akcyzę, podatek od nieruchomości, opłatę śmieciową, opłatę paliwową, opłatę mocową, emisyjną i jeszcze kilka innych haraczy, których nazw nawet nie pamięta, bierze własną ziemię i próbuje położyć ją na własnej działce, państwo mówi „nie". Okazuje się bowiem, że ziemia nie jest ziemią, lecz decyzją administracyjną, bywa też wpisem do rejestru, a czasem po prostu jest odpadem. Nie dlatego, że zagraża środowisku, ale stąd, że urzędnik uznał, iż znalazła się nie tam, gdzie powinna.

Przekonał się o tym pan z województwa łódzkiego, który w ostatnich latach przeszedł pełny kurs praktyczny z zakresu tego, czym w Polsce jest własność prywatna. Otóż człowiek ten posiadał parę działek. A że był przedsiębiorcą, inwestował, coś budował, porządkował i planował. Robił to, czego przez lata uczono Polaków, mówiąc im, że w kapitalizmie bierzesz odpowiedzialność za siebie, kupujesz, inwestujesz i rozwijasz majątek. Pan z łódzkiego potraktował te opowieści zbyt dosłownie.

Na jego terenie znajdowało się bowiem ponad 2300 ton mas ziemnych. To masa, z której można zrobić potężny nasyp, wzmocnić skarpę, wyrównać teren pod inwestycję, albo zabezpieczyć działkę przed osuwaniem. Można więc zrobić to, do czego ziemia od setek lat służyła ludziom, a w czym nie było udziału systemów teleinformatycznych, marszałków województw ani baz danych.

Ale należąca do pana przedsiębiorcy ziemia miała jeden kardynalny feler. Nie leżała tam, gdzie zdaniem państwa leżeć powinna. Jak ustalono, pochodziła z innej działki należącej do tego samego właściciela, z której została wywieziona, zanim działka została przejęta przez państwo w związku z budową drogi ekspresowej. A skoro pochodziła z inwestycji infrastrukturalnej, to automatycznie przestawała być zwykłą ziemią. Stała się zatem najpierw materiałem wymagającym nadzoru, potem ewidencji, jeszcze później kwalifikacji, a na końcu – odpadem.

„Zero waste"

To jednak nie wszystko, bo podczas kontroli urzędnicy znaleźli również betonowe podkłady kolejowe. Zostały zakupione przez pana przedsiębiorcę w 2011 r. i przez ponad dekadę spokojnie funkcjonowały jako element majątku. Nagle jednak, gdy kontrola ruszyła pod koniec 2020 r., okazało się, że mogą być dowodem rzeczowym w sprawie.

Kontrola pola pana przedsiębiorcy nie skończyła się po tygodniu, ani nawet po kwartale. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska badał sprawę przez dokładnie 186 dni. Przez pół roku aparat państwa analizował, fotografował, opisywał, kwalifikował i proceduralnie obrabiał ziemię leżącą na prywatnym gruncie prywatnego właściciela.

Pan przedsiębiorca tłumaczył, że ziemia miała zostać wykorzystana do budowy skarpy, stabilizacji terenu oraz prac budowlanych. Tłumaczył, że betonowe podkłady mogą zostać użyte do wykonania ogrodzenia lub elementów zabezpieczenia. Innymi słowy, zachowywał się dokładnie tak, jak przez lata zachowywały się tysiące gospodarzy, budowlańców, rolników i inwestorów, którzy nie mieli zwyczaju wyrzucać materiału tylko dlatego, że chwilowo nie jest potrzebny. Zwłaszcza że mieli go gdzie trzymać.

Przedsiębiorca poszedł nawet krok dalej i próbował przemówić do systemu językiem tegoż systemu. Powołał się na ideę „zero waste", czyli na ponowne wykorzystanie, na gospodarkę obiegu zamkniętego, na rozsądne zarządzanie zasobami. A nawet na unijne regulacje, w tym rozporządzenie UE nr 305/2011. Próbował zatem użyć dokładnie tych samych pojęć, którymi codziennie karmią społeczeństwo urzędnicy, ministrowie, aktywiści i eksperci klimatyczni.

Sąd jednak wiedział swoje i uznał, że obywatel nie rozumie nowoczesności tak, jak powinien. I to nie jeden sąd, bo najpierw WSA w 2022 r., a potem NSA nie miały wątpliwości. Przypomniały prawdziwą poezję prawa administracyjnego. Stwierdziły, że odpadem jest rzecz, której posiadacz – jak głosi ustawowa definicja – „się pozbywa, zamierza się pozbyć albo do ich pozbycia się jest obowiązany".

Kodeks poszerzonego prawa

Te słowa to absolutne arcydzieło – nie trzeba niczego wyrzucać, nie trzeba niszczyć czy zakopywać. Nie trzeba nawet chcieć czegoś wyrzucić. Wystarczy, że urzędnik uzna, iż potencjalnie można by przyjąć, że być może kiedyś miało się taki niecny zamiar. A jeśli nawet się nie miało, to państwowa instytucja uzna, że powinno się mieć. A wtedy twoja ziemia przestaje być twoją ziemią.

Sąd dodał jeszcze cytat, który powinien być oprawiony w ramki i wisieć nad wejściem do każdych drzwi nad którymi wisi czerwona tabliczka z białymi literami oznajmiającymi, że wchodzimy do instytucji publicznej: „Dla uznania substancji za odpad nie ma znaczenia to, czy materiał ma wartość użytkową".

Tłumacząc z języka sądowego na polski, można zatem posiadać materiał potrzebny, funkcjonalny, bezpieczny, nadający się do konkretnej inwestycji, kupiony legalnie i przechowywany na własnym terenie, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Najważniejsze jest to, co państwo myśli o twoim materiale. Wszak jeżeli chcesz być świadomym obywatelem, musisz nauczyć się nowych symboli: BDO, Karta Przekazania Odpadów, kod 17 01 06, kod 17 05 04. Masz zakuć na pamięć, że zgłoszenie należy złożyć w ciągu 14 dni, że zezwolenie wydane jest maksymalnie na 10 lat i jest to decyzja starosty albo marszałka województwa. A jeśli czegoś w tym nie dopatrzysz, to czeka cię kara administracyjna od tysiąca do miliona złotych. Ba, po uprawomocnieniu decyzji państwo daje obywatelowi dokładnie 14 dni na zapłatę.

Pół roku mogą badać prywatną ziemię. Trzy lata toczyć się będą procedury, kolejne trzy – odwołania. Następne lata zajmą sądy. Ale kiedy przyjdzie do płacenia kary, nagle wszystko staje się niezwykle dynamiczne – dwa tygodnie, jakby się wisiało kasę lichwiarzowi, a nie własnemu państwu.

Oczywiście własność prywatna nadal jest rzeczą świętą. Możesz zatem mieć grunt, koparkę, faktury. Możesz płacić podatki i setki innych należnych państwu danin, ale nie możesz mieć pewności, że własna ziemia pozostanie twoją ziemią, jeśli urzędnikowi wpadnie do głowy uznać ja za coś innego.

Może więc w Polsce najświętsza nie jest własność prywatna, a wyobraźnia administracji, która potrafi zamienić ziemię w problem prawny skutkujący milionem złotych kary tylko po to, żeby obywatel przypadkiem nie pomyślał, że coś naprawdę należy do niego.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● „Przecież obiecał pan, że już nigdy żaden urzędnik nie doprowadzi do bankructwa polskiej firmy. Nie dotrzymał pan słowa" – pisał kilka tygodni temu do premiera Donalda Tuska właściciel Ekolotu Henryk Słowik. Dziś podobne pytanie mogą zadawać sobie akcjonariusze, menedżerowie i pracownicy firm budujących drogi. Nie dlatego, że ktoś już ogłosił spektakularną plajtę na miarę PBG, Hydrobudowy czy DSS. Ale dlatego, że coraz więcej wydarzeń zaczyna niepokojąco przypominać atmosferę z lat 2011–2013, gdy Polska budowała autostrady na Euro 2012, a w ślad za kolejnymi przecinanymi wstęgami szły upadłości, pozwy, nieopłacone faktury i tysiące przedsiębiorców walczących o pieniądze. Najświeższym sygnałem alarmowym jest pozew Mostostalu Warszawa przeciwko skarbowi państwa. Spółka zażądała dokładnie 152 538 552,55 zł wraz z ustawowymi odsetkami za opóźnienie. Chodzi o kontrakt podpisany 7 listopada 2022 r. na zaprojektowanie i budowę około 12,5-kilometrowego odcinka trasy Via Carpatia. Mostostal twierdzi, że odstąpił od kontraktu z przyczyn leżących po stronie zamawiającego. Wskazuje na nieprzewidziane warunki gruntowe i problemy projektowe. GDDKiA odpowiada, że wykonawca porzucił roboty i dlatego to państwo odstąpiło od umowy z winy wykonawcy. W 2012 r. firmy protestowały, twierdząc, że wydano setki milionów złotych, a one zostały bez pieniędzy. Dziś Polska nie buduje dróg na wyścigi przed rozpoczęciem mistrzostw Europy, budżet drogowy jest większy niż wtedy, a GDDKiA ma większe doświadczenie. Jednak pewne mechanizmy wyglądają zaskakująco znajomo. Znowu słyszymy o nieprzewidzianych warunkach gruntowych, o sporach dotyczących kosztów, pojawiają się wielomilionowe roszczenia, wykonawca twierdzi, że państwo nie uwzględnia realiów budowy, a państwo – że wykonawca nie realizuje kontraktu zgodnie z harmonogramem. No i znowu premierem jest Tusk. Dlatego pozew Mostostalu nie jest tylko kolejną informacją z rynku kapitałowego. To test dla państwa i systemu zamówień publicznych. Jeżeli zakończy się ugodą albo szybkim rozwiązaniem, pozostanie tylko epizodem. Jeśli jednak podobnych sporów zacznie przybywać, to wyjdzie, że po kilkunastu latach od katastrofy autostradowej znów wchodzimy na drogę, na której już się zdrowo przejechaliśmy.

● Kapitał ma narodowość tylko wtedy, gdy chce. Kiedy zaś przychodzi moment wyłożenia miliardów na stół, narodowość przegrywa. Najnowszym dowodem jest sprzedaż sieci stacji paliw Moya – firmy, która jeszcze kilka lat temu była średniej wielkości graczem na rynku, a dziś jest trzecią największą siecią stacji paliw w Polsce. Jej nowym właścicielem nie został żaden polski fundusz, żaden państwowy koncern czy krajowy miliarder. Moya przeszła w ręce zagranicznego konsorcjum tworzonego przez amerykański fundusz Stonepeak oraz Energy Equation Partners. Kwoty transakcji nie ujawniono, ale sam fakt, że nabywcami są międzynarodowi inwestorzy wyspecjalizowani w infrastrukturze energetycznej, pokazuje skalę przedsięwzięcia. Bo Moya nie była firmą przegrywającą, wymagającą ratowania czy tonącą w długach. Wręcz przeciwnie. W 2018 r. sieć liczyła około 180 stacji paliw. Siedem lat później było ich już 540. Zyski w tym czasie wzrosły czterokrotnie. Przedsiębiorstwo stworzone w Polsce, rozwijane w Polsce i działające na polskim rynku zostało sprzedane zagranicznym inwestorom nie dlatego, że przynosiło straty, lecz dlatego, że przynosiło zyski. Tyle że największą gotowość do wyłożenia pieniędzy wykazał kapitał zagraniczny. I właśnie tu opowieści o repolonizacji gospodarki się kończą.

● Rządzący nieustannie opowiadają o potędze polskiej gospodarki. No to sprawdzamy. W kwietniu Polska sprowadziła z Chin towary warte 22,1 mld zł. Rok wcześniej było to o 2,7 mld zł mniej, co oznacza wzrost aż o 13,9 proc. W tym samym czasie polski eksport do Chin wzrósł wprawdzie o 34,1 proc., ale oznaczało to zaledwie około 300 mln zł dodatkowej sprzedaży. Łącznie wysłaliśmy do Państwa Środka towary warte jedynie 1,4 mld zł. Miesięczny deficyt handlowy Polski wobec Chin urósł do astronomicznych 20,7 mld zł – 2,3 mld zł więcej niż rok wcześniej. Największą pozycją importową były komputery i urządzenia komputerowe. Drugie miejsce zajęły telefony komórkowe. Trzecią pozycję zajęły samochody. Z Chin płynie do Polski to, co uchodzi za symbole nowoczesnej gospodarki, co wymaga technologii, badań, ogromnych nakładów kapitałowych i zaawansowanych procesów produkcyjnych. A co Polska wysyła do Chin? Największą pozycją eksportową pozostaje miedź. Drugą istotną pozycją były silniki turboodrzutowe, turbośmigłowe i turbiny gazowe. Ale prawdziwą gwiazdą statystyk okazała się krew ludzka i zwierzęca. Eksport w tej kategorii osiągnął wzrost o 107 561 proc. Jeżeli więc ktoś szuka odpowiedzi na pytanie, kto jest centrum technologicznego świata, a kto dostawcą surowców i komponentów, to wystarczy spojrzeć na te liczby i zejść na ziemię.

● Aby zrozumieć, czym jest banksterstwo, wystarczy porównać oprocentowanie lokaty bankowej z dywidendą wypłacaną przez ten sam bank swoim akcjonariuszom. Wyjdzie, że klientowi, który przynosi do banku pieniądze, proponuje się około 3 proc. rocznie, zaś właścicielowi bankowych akcji wypłaca się nawet 8, 9 czy 11 proc. wartości posiadanego pakietu. Oczywiście eksperci finansowi natychmiast wyjaśnią, że lokata i akcja to nie to samo. Lokata jest bezpieczna, akcja ryzykowna. Lokatę chroni Bankowy Fundusz Gwarancyjny, a kurs akcji może spaść. Wszystko to prawda. Tyle że przeciętny klient może mieć prawo zastanawiać się, dlaczego instytucja finansowa, która jego pieniądze pożycza za 3 proc., potrafi jednocześnie generować zyski pozwalające wypłacać właścicielom trzykrotnie wyższe stopy zwrotu. Siedem banków oraz PZU ma w tym roku wypłacić około 27 mld zł dywidend. Bank Pekao zamierza wypłacić 19,77 zł dywidendy na akcję. Oznacza to stopę dywidendy sięgającą niemal 9 proc. Na wypłatę przeznaczone ma zostać około 5,18 mld zł z zysku wynoszącego prawie 7 mld zł. PKO BP rozdysponuje około 5,2 mld zł. ING Bank Śląski zamierza przekazać akcjonariuszom blisko 3,5 mld zł. Santander Bank Polska również wypłaci kwoty liczone w miliardach złotych. Prawdziwym rekordzistą pozostaje jednak Citi Handlowy, gdzie stopa dywidendy zbliża się do 11 proc. W efekcie dochodzimy do sytuacji osobliwej. Banki zarabiają rekordowe pieniądze. Akcjonariusze otrzymują rekordowe dywidendy. Prezesi inkasują wielomilionowe wynagrodzenia. KNF jest zadowolona ze stabilności sektora. Ministerstwo Finansów cieszy się z podatków. A klient? Klient może z dumą odebrać swoje 1215 zł netto – bo przecież płaci podatek Belki – od 50 tys. zł zdeponowanych na rok i usłyszeć, że wszystko działa dokładnie tak, jak powinno. Ale skoro banki są w stanie wypłacać właścicielom po 8, 9 czy 11 proc., to dlaczego klientowi oferują około 3 proc.? Odpowiedź jest nader banalna. Bo mogą.

● Dba o to polski system karania wielkich instytucji finansowych. Najnowszym przykładem jest mBank, na który Komisja Nadzoru Finansowego nałożyła cztery kary finansowe o łącznej wartości niemal 15 mln zł. Komisja zarzuciła bankowi, że dochodziło tam do sytuacji, w których osoby nieposiadające odpowiednich pełnomocnictw miały uczestniczyć w negocjowaniu warunków transakcji skarbowych klientów – bank nie weryfikował należycie ich umocowania. Czyli instytucja mająca stać na straży pieniędzy i danych swoich klientów nie wykazała wystarczającej staranności w sprawdzaniu, komu właściwie te dane pokazuje. W dodatku KNF wskazała na ryzyko naruszenia tajemnicy bankowej, czyli czegoś, co dla bankowości powinno być świętością. To jednak nie koniec. Komisja znalazła również nieprawidłowości związane z transakcjami zabezpieczającymi ryzyko walutowe. Chodzi o to, że klient mógł nie otrzymać takiego poziomu ochrony, jaki ustawodawca przewidział dla uczestników rynku finansowego. Jeśli zaś klient nie jest odpowiednio chroniony, to przecież nie bank ponosi konsekwencje swoich decyzji inwestycyjnych, lecz właśnie klient. mBank w 2025 r. wypracował około 3,5 mld zł zysku. Przy takich wynikach kara wynosząca niespełna 15 mln zł stanowi mniej niż pół procent rocznego zysku banku. Utwierdza zaś w przekonaniu, że w Polsce odpowiedzialność wielkich korporacji niemal nigdy nie ma charakteru indywidualnego. Gdy piekarz źle prowadzi biznes, to bankrutuje. Gdy właściciel małej firmy popełni kosztowny błąd, to odpowiada własnym majątkiem. Gdy zaś dochodzi do nieprawidłowości w wielkiej instytucji finansowej, karę płaci spółka pieniędzmi klientów. Klient staje się ofiarą błędów instytucji, i to podwójnie. Najpierw, bo nie otrzymał odpowiedniego poziomu ochrony. Później dlatego, że koszty kary za to, zapłaci przy wzroście jakiejś opłaty bankowej.

TTJ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 53612785c0

Sport nie daje nam od siebie odpocząć

Tęsknota za ogórkami

Trwają piłkarskie mistrzostwa świata w USA, Kanadzie i Meksyku, zbliża się do końca tenisowy wielkoszlemowy Wimbledon, wyruszył kolarski Tour de France. W kolejce następne wielkie imprezy. Do wyboru, do koloru. A wszystko to dzieje się w sezonie, który moglibyśmy nazywać ogórkowym.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nauka z dupy

Co takiego się porobiło, że sport nie daje nam od siebie wytchnąć?

Nie da się ustalić, kto pierwszy ukuł formułkę, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. W Polsce bardzo lubił posługiwać się tym utartym sloganem były minister finansów Jacek Rostowski. Od kiedy sport stał się biznesem, rządzą nim bezwzględne prawa ekonomii, a te podpowiadają, by ze wszystkiego wycisnąć, ile tylko się da.

Pamiętam, że podczas krótkiego pobytu w Stanach zaskoczony byłem już po wyjściu z samolotu. Na lotnisku złapałem za wózek na bagaż i chciałem wychodzić. – Stop – zawołała ostro służbowo ubrana pani. – Dawaj dolara!

Pierwszy raz spotkałem się z tym, by za wózek bagażowy na lotnisku trzeba było płacić.

Opowiedziałem o moim zaskoczeniu znajomym, do których przyleciałem, a oni wyjaśnili mi zasady amerykańskiej ekonomii: gdyby tutaj sprzedawać można było gówno, biedacy rodziliby się bez dupy.

Przypominam sobie ten kawał, patrząc na północnoamerykański mundial. Po raz pierwszy w finałach piłkarskich mistrzostw świata wzięło udział aż 48 reprezentacji, o 16 więcej niż cztery lata temu w Katarze. Dla porównania – w pierwszych mistrzostwach, w Urugwaju, w 1930 r. było ich 13. Do wyłonienia mistrza w obecnej formule potrzeba aż 104 meczów. Każdy mecz powinien przynieść zysk.

Przed rozpoczęciem mistrzostw prześledziłem system rozgrywek. W pewnym momencie załamałem się. Po raz pierwszy do dalszych gier przechodziły niektóre z drużyn zajmujących trzecie miejsca w grupie. Ale które? Tu już trzeba było wyższej matematyki, a nie umysłu prostego kibica.

Kasa, misiu, kasa

Przed rozpoczęciem turnieju wielu fachowców wieściło, że wszystko zakończy się wielką finansową klapą. Ceny biletów były kosmiczne, stadiony ogromne, a w ogóle soccer – jak nazywają w USA i Kanadzie to, na co my mówimy futbol – nie należy do popularnych sportów. Myślę, że nie doceniliśmy biznesowego zmysłu prezydenta FIFA Gianniego Infantino i gospodarzy. Dzięki elastycznej formule internetowej sprzedaży biletów (nie pytajcie mnie jakiej, bo nie mam pojęcia) udało się zapełnić trybuny po brzegi. Marketing też zrobił swoje. Celebryci zajmowali wcześniej wyznaczone miejsca, tak żeby telewizyjne kamery mogły ich pokazywać. No a jeśli gwiazdy estrady, showbiznesu i zawodowego sportu interesują się mistrzostwami, widocznie musi być w nich coś interesującego… Jednego możemy być pewni.

Finansowa klapa czeka TVP i PZPN. PZPN – wiadomo – wykosztował się na przygotowania i udział w kwalifikacjach, a pieniędzy za mecze podczas mundialu nie dostanie, bo reprezentacji Polski tam nie ma. Telewizja oberwie po kieszeni, bo brak narodowej reprezentacji zmniejsza zainteresowanie, reklamy pokazywać można tylko w przerwach między połowami, a część spotkań, czasem tych atrakcyjnych, rozgrywana jest w nocy naszego czasu. Posłowie PiS powinni udać się z kontrolą na ul. Woronicza i sprawdzić, czy deficyt TVP procentowo urósł bardziej niż deficyt finansów publicznych. Po zmianie władzy zostanie to rozliczone, także karnie. A że zmiana władzy nastąpi, widzą to już chyba wszyscy, z wyjątkiem Donalda Tuska.

Kilometry w nogach

Drenowanie kieszeni kibiców za pośrednictwem telewizyjnych nadawców zaczęła już UEFA. Został radykalnie zmieniony program europejskich rozgrywek piłkarskich. Zamiast tradycyjnego systemu gier grupowych, a później pucharowych wprowadzono ligi, a puchary dopiero na koniec. Prawdę mówiąc, okazało się to pod pewnymi względami trafne posunięcie. Jest sporo atrakcyjnych spotkań – tyle że jest ich znowu więcej niż wcześniej. Dobra piłkarska europejska drużyna ma w sezonie w nogach ponad 50 gier. Ponieważ podczas meczu piłkarz przebiega ponad 10 km – zawodnicy mają za sobą ponad 5 tys. km. Oczywiście pamiętajmy, że zawodnik nie biega bez przerwy, każdemu wylicza się osobno metry pokonane sprintem, ale i tak wyjdzie tego bardzo dużo, a przecież są jeszcze codzienne treningi.

Myślę, że efekty są aż nazbyt widoczne podczas mundialu. Narodowe reprezentacje, w których gra wielu piłkarzy na co dzień występujących w czołowych klubach, nie spisują się tak dobrze, jak można się było spodziewać. Natomiast takie zespoły jak reprezentacja Curaçao (znana wcześniej pod nazwą Antyli Holenderskich) czy Republiki Zielonego Przylądka, które zaskoczyły nas fajną grą, mają w składach przyzwoitych futbolistów ze średnich klubów poza swoimi granicami.

Spośród rozlicznych nałogów hazard jakoś mnie ominął. Bardziej wkurza mnie przegranie pieniędzy, niż cieszy ich wygranie. Co dwa lata robię mały wyjątek: podczas mistrzostw Europy i mundialu. Wybieram sobie jakiś nieoczywisty zespół i stawiam na niego małą sumkę. Dzięki temu mam ciut-ciut więcej emocji. Zrobiłem tak i teraz. Od razu powiem, że nie postawiłem ani na Niemców, ani na Holendrów (już ich nie ma), ani też na Francję, Brazylię lub Hiszpanię. Na razie „moi" jeszcze się trzymają, choć nikt ich przed turniejem nie stawiał w roli faworyta.

Po mundialu piłkarze nie odpoczną, bo prędko wznawiają mecze w rozgrywkach ligowych. Robert Lewandowski, który na odpoczynek miał cały mundial i mógł się zajmować pakowaniem walizek przed przeprowadzką z Barcelony do Chicago, mógłby już zagrać pierwszy mecz w lidze MLS 17 lipca. O ile dostanie do tego czasu wizę pracowniczą albo prezydent Donald Trump nie deportuje z tego cudownego kraju Lewandowskich jako imigrantów goniących za zyskiem. A czy piłkarze są przemęczeni? Kogo to obchodzi. Wystarczająco dużo zarabiają, żeby siedzieć cicho.

Krótko mówiąc – żadnego sezonu ogórkowego nie ma, choć właśnie powinien się rozpocząć.

Powiedzenie „sezon ogórkowy" ma długą tradycję, pochodzi z XIX-wiecznych Niemiec. Latem zamierało życie polityczne i kulturalne, a towarzyskie przenosiło się na letniska. Ci, których nie było stać na letniska, nikogo nie obchodzili, gazet nie kupowali. O czym więc mieli pisać dziennikarze? Z odsieczą przychodziły właśnie ogórki, którymi w tym czasie handlowano, i sporo miejsca w prasie poświęcano zmianom ich cen na lokalnych rynkach. Stąd wziął się termin „sezon ogórkowy", niem. *gurkenzeit*.

Czerwone duraki

Jako dziennikarz ze sporym stażem, i to w dwóch ustrojach, miewałem do czynienia z „ogórkami" nie raz. Gdy pracowałem w dziale sportowym „Trybuny Ludu", widziałem, jak zmagają się z tym problemem koleżanki i koledzy z innych działów. Właściwie to przez cały rok nie mieli o czym pisać, bo wszystko było z góry zaplanowane i ustalone, a sensacjami czy wydarzeniami kryminalnymi w tak poważnym partyjnym organie zajmować się nie uchodziło. O cenach skupu płodów rolnych, w tym ogórków, nie informowano publicznie, żeby nie denerwować ludzi.

Ratowano się informacjami o pracy ludu pracującego miast i wsi, stąd takie frapujące tytuły jak „Rybacy wypłynęli na łowiska" czy „Rolnicy szykują się do żniw". Ale nawet i w takich niewinnych tytułach mogło czyhać niebezpieczeństwo. Ja tego nie przeżyłem, przyszedłem do pracy później, ale opowiadano mi o tym, bo była to legendarna historia w „Trybunie Ludu".

Rozpoczęły się wykopki czerwonych buraków. Dziennikarze nie mogli przeoczyć tego frapującego wydarzenia i stosowny artykuł opatrzyli tytułem: „Trwa zbiór czerwonych buraków". Nieszczęście polegało na tym, że pracowaliśmy wówczas w ołowiu. Czcionki oglądało się jak gdyby w lustrzanym odbiciu. Tytularz (drukarz odpowiedzialny za składanie tytułów z poszczególnych czcionek) pomylił „b" z „d". No i wyszło z tego: „Trwa zbiór czerwonych duraków".

Główna partyjna gazeta informowała – i to na pierwszej stronie – że zbliża się zagłada czerwonych durniów. Ludzie rozchwytywali „Trybunę" jak nigdy wcześniej i nigdy później, a na najwyższych szczeblach partyjno-rządowych rozważano konsekwencje. Oczywiście w trybie natychmiastowym zwolniono nieszczęsnego tytularza, całą zmianę korektorek i na tym etapie represje się zatrzymały. Teraz po serii kompromitujących i drastycznych afer w Szpitalu Południowym w Warszawie także nie poleciała głowa Donalda Tuska, choć wielu się jej domagało.

My, w dziale sportowym, mieliśmy przynajmniej mecze i inne zawody o nieustalonym z góry rezultacie, można było o nich pisać przed wydarzeniem, w trakcie i komentować po wszystkim. Nasz sezon ogórkowy trwał głównie w okresach świąteczno-noworocznych. Gazeta musiała się ukazywać niezależnie od tego, czy grali, biegali albo się ścigali. Zawsze mieliśmy więc w pogotowiu jakieś – jak się to nazywało – ponadczasowe kawałki, którymi domknąć mogliśmy sportową stronę.

Dziś już sezonu ogórkowego w sporcie nie ma, w polityce zresztą także, bo prezydent Karol Nawrocki zawsze znajdzie jakąś ustawę, żeby ją zawetować, choćby zdalnie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 8.07.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 53612785c0

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Co się bardziej opłaca – głośno zastanawia się prezes Kaczyński – służba zdrowia czy Ukraina?

– Jedno i drugie – odpowiada przewodniczący Błaszczak.

– A nie można by tego połączyć? Czy śledztwo dziennikarskie nie mogłoby udowodnić, że dziadkiem lekarza milionera z Koalicji Obywatelskiej był ukraiński oprawca z Wołynia?

– Jeśli nasi dziennikarze znaleźli Tuskowi dziadka z Wehrmachtu, to i znajdą Kacprzykowi dziadka z Ukraińskiej Powstańczej Armii – obiecuje przyszły premier Czarnek.

– Pradziadka – prostuje poseł Śliwka. – Kacprzyk jest jednak młodszy od Tuska.

– A nie dałoby się w to włączyć młodego Tuska? – wciąż pyta Kaczyński.

– W co? Że Michał Tusk był lekarzem w Szpitalu Południowym czy że jego dziadek był upowcem? – chce wiedzieć Czarnek, żeby jak najszybciej znaleźć odpowiednio usłużnego dziennikarza.

– Najlepiej jedno i drugie – sugeruje Błaszczak.

– Ale jak dziadek Michała Tuska może być Ukraińcem, jeżeli dziadek Donalda Tuska był Niemcem? – dziwi się Śliwka.

– To taki tygiel narodowościowy – rozstrzyga Kaczyński. – Niemiecko-ukraiński ród Tusków i tak ma żydowskie korzenie.

– Aszkenazyjskie czy sefardyjskie? – musi ustalić Czarnek, bo w pisowskich mediach niewielu jest takich specjalistów, którzy by się znali i na Rusi, i na Syjonie.

– Tuskowie to znana oligarchia lekarska – ciągnie Kaczyński. – Ich antenaci byli balwierzami na wielu obcych dworach.

– Nie myli się i czytali książki w kościele? – pyta zdezorientowany Śliwka.

– Antenaci, a nie abnegaci, i balwierze, a nie brewiarze – wyrozumiale uśmiecha się Kaczyński. I myśli: Ach, ci młodzi… Wiedzą, co to TikTok i Instagram, a nie odróżniają brodawki od golibrody.

– Nie sądzę, żeby Tuskowie zbytnio dbali o higienę… – napomyka Błaszczak, lecz już nikt nie ciągnie tematu.

Prezes z trudem wstaje z krzesła.

– No to do roboty! – woła. – Dobrze by było też udowodnić, że Koalicja Obywatelska jest winna spadkowi formy tej tenisistki, jak jej tam?

– Iga – podpowiada Błaszczak.

– Jaka Iga? Maja – oponuje Śliwka, a Czarnek dochodzi do wniosku, że Koalicja jest tak destrukcyjna, iż może załamać karierę obydwu tenisistek.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jedzie do Kielc, żeby zmywać czerwoną farbę z elewacji biura Nowej Fali. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** rusza do Druskiennik, żeby w środku lata pojeździć na nartach w lodówce.

Wołk-Łaniewska: – Co sądzisz o donacji? Bo ja na przykład planuję donację zwłok.

Senyszyn: – Bardzo pożyteczna decyzja. Też mam taki zamiar.

– Prawda? Uczciwie powiedziawszy, los mojego martwego truchła leży mi martwym truchłem, tyle że na końcu poproszę mnie spalić, bo dość naśmieciłam na ziemi za życia. Ale przedtem młodzi lekarze mogą się na mnie pouczyć…

– Słusznie, bo jest niedobór ciał i ponoć sprowadzamy z Chin. Słyszysz, jak mówię: ciało, a nie truchło. Tak jak nie mówi się trup, tylko zmarły. Ale wtedy nie rymowałby się sztandarowy wierszyk medyków z moich studenckich czasów: „W prosektorium trup przy trupie, lekarz grzebie palcem w kościach, przecież to nie boli gościa". Nie wiem, czy pamiętasz, wtedy było sporo takich rymowanek z niespodzianką: „Weszła do wody i liczyła krupy, a woda sięgała jej do kolan. Jak wody przybędzie, to i rym będzie"…

– Ja pamiętam dialog z legendarnego musicalu Strzeleckiego „Złe zachowanie" z 1984 r.: – Na horyzoncie chłop w majtasach, co olbrzymiego ma nochala. – Muszę go ujrzeć na golasa, sam nochal mnie nie zadowala…

– A grę półsłowek pamiętasz? Zazwyczaj była prosta…

– „Stój Halina!"

– Ale na przykład: „marzenia wracającego" wymagały chwili zastanowienia. Inna sprawa, po co? Chyba z nudów. Ale wróćmy do tematu. Zawsze miałaś pociąg do starszych panów, a po śmierci marzysz, żeby na tobie ćwiczyli młodzi lekarze. Niektórym ateistom też się przed śmiercią zmienia, ale ciebie nie podejrzewałam o taką woltę.

– Wolty nie planuję i młodych lekarzy mam w nosie, o dobro ludzkości mi chodzi en bloc. A kto będzie na mnie ćwiczył, choćby i dr Kacprzyk, to już ode mnie nie zależy. Po śmierci dupa nie rządzi. To jeden z niezliczonych luksusów ateizmu: nie mam nawet cienia obawy, że będę się w grobie przewracać…

– Przesypywać raczej, skoro chcesz być spalona.

– Wracając do donacji, bo to fascynujący temat: dużą popularnością cieszy się też donacja spermy oraz komórek jajowych, bo za to płacą, i to sporo: pięć tysi chłopom, a babom to nawet dychę. W odróżnieniu od zwłok, które się donuje za darmo.

– No bo po co nieboszczykowi pieniądze?

– W zasadzie racja. W każdym razie donacji jest wiele, ale o donacji czołgów to wcześniej nie słyszałam. Podobnie jak o donacji pocisków.

– Zrobiła się moda na tworzenie nowych słów. Ale w tym wypadku chyba chodzi o zaciemnienie sprawy.

– Zmieniając temat: wiesz, że nie jestem entuzjastką futbolu, ale historia z czerwoną kartką, prezydentem Trumpem i prezesem Infantino mnie absolutnie oczarowała.

– Też mi się podobało, jak prezydent USA bez żenady przyznał, że zadzwonił do prezesa FIFA, żeby cofnęli karę sędziego dla amerykańskiego piłkarza, i dodał z dumą: „Rozmawiałem z człowiekiem, który cieszy się ogromnym respektem i, nawiasem mówiąc, jego respekt wzrósł dziesięciokrotnie". Jak on to obliczył?

– Dokładnie tak samo, jak obliczył, że obniża ceny leków o 1400 proc. Donald Trump nie jest człowiekiem, który pozwala, żeby liczby go ograniczały. Podobnie jak Nigel Farage, który bez skrępowania przytulił 5 mln funtów od kryptomiliardera Christophera Harborne'a…

– Może sprecyzujmy, że w tym przypadku „kryptomiliarder" nie oznacza miliardera, który skrywa swój majątek, tylko takiego, co dorobił się na kryptowalucie.

– Ale skryty też jest. Aktualnie każe się nazywać Chakrit Sakunkrit i ma sanktuarium wellnes na tajskiej wyspie Ko Samui. Ma także partię Reform UK, której przez ostatnie siedem lat dał 22 mln funtów – grubo ponad 100 mln zł – co stanowi dwie trzecie jej finansowania. Te pięć baniek dla Farage'a Harborne dorzucił górką. W każdym razie w związku z tym drobnym podarkiem szef Reform UK właśnie złożył mandat w Izbie Gmin.

– Zaraz, zaraz, bo to brzmi tak, jakby Nigel miał wyrzuty sumienia. Złożył, bo przeciwko niemu prowadzone było postępowanie w związku z tym, że nie zgłosił tej – no właśnie – donacji…

– Niektórzy nazywają to łapówką. Zwłaszcza że jego dobroczyńca jest współwłaścicielem Tether – szemranej, zarejestrowanej w Salwadorze firmy zajmującej się obrotem kryptowalutą – i jak Farage zostanie premierem…

– Co nie jest wykluczone…

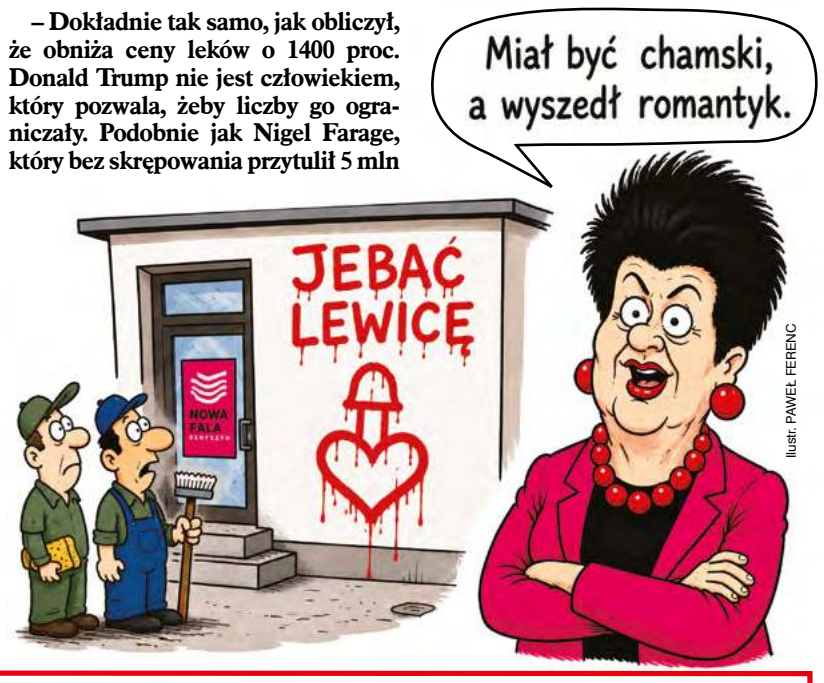

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– To wprowadzi takie regulacje, a raczej deregulacje, że Tether będzie wart 500 mld dolarów. Już to zresztą zapowiedział.

– W sumie: Nigel Farage mandat złożył w ramach ucieczki do przodu – bo w brytyjskim systemie jednomandatowym złożenie mandatu powoduje wybory uzupełniające. W których Farage planuje kandydować i najpewniej wygra, bo laburzyści, torysi, Liberalni Demokraci, Zieloni i Restore UK już ogłosili, że nie będą brać udziału w tym cyrku.

– Ale za to wystartuje Hrabia Koszoryj.

– Kto, przepraszam?

– Count Binface. To ten koleś w ubraniu rycerza z hełmem z kosza na śmiecie, który dla jaj kandyduje w różnych wyborach. W zasadzie powinien służyć tobie jako Imperatorce – bo przedstawia się jako „międzygalaktyczny wojownik kosmiczny". Ostatnio można go było obejrzeć, jak stał na scenie podczas ogłaszania wyników wyborów uzupełniających w Makerfield.

– Tych, które wprowadziły do Izby Gmin przeszłego premiera Andy'ego Burnhama.

– Tych właśnie.

– Hrabia Koszoryj nie będzie nawet najbardziej komicznym elementem tych wyborów. Śmieszniejszy jest Nigel Farage, który ogłosił, że to „będą prawdziwe wybory: lud przeciwko establishmentowi". Bezczelna wypowiedź, jak na faceta, który dostał w prezencie 5 mln funtów i uznał, że to drobiazg.

– Ale chyba nie bardziej niż komentarz odchodzącego premiera Keira Starmera, który ogłosił tonem pełnym wyższości, że „w polityce powinno chodzić o poprawę życia milionów ludzi, a nie o osobiste zyski i ukrywanie szemranych donacji".

– I mówi to facet, który przyjął prezenty warte 100 tys. funtów od magnata medialnego Waheeda Alli. Na te 100 tys. składały się luksusowe wycieczki, bilety do loży VIP na mecze piłkarskie oraz na koncerty Taylor Swift i Coldplay, garnitury dla niego i suknie dla żony oraz okulary za 2,5 tys. funtów…

– To ja już chyba wolę naziola, którzy bierze kasę…

– Daj spokój, naziola nigdy…

– A właśnie że tak: lepszy jest szczery naziol, który otwarcie mówi, jakie są jego zamiary i poglądy niż fałszywy lewak na usługach kapitału, kupiony za „czekuladki i bileta do cyrku" – żeby zacytować nieśmiertelny skecz z „Dudka".

– E tam, ty po prostu nie znosisz Starmera, bo wyrzucił z partii Jeremy'ego Corbyna.

– No to jest oczywiste, ale tylko ostatnia menda mogła coś takiego zrobić – co Starmer udowodnił przez dwa lata swojego premierostwa. Więc nie znoszę go i osobiście, i ideowo.

– Ale spójrz na to z jaśniejszej strony. Teraz Corbyn ma swoją partię.

– To tak jak ty.

– I wyobraź sobie, że nieznani sprawcy napisali czerwoną farbą na naszej nowo otwartej siedzibie w Kielcach: „Jebać lewicę", a niżej namalowali coś, co miało być chyba penisem, ale z daleka raczej przypomina czerwone serce Koalicji Obywatelskiej. Już zaapelowałam o ponadpartyjne zmywanie i ciekawa jestem, jaki będzie odzew.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

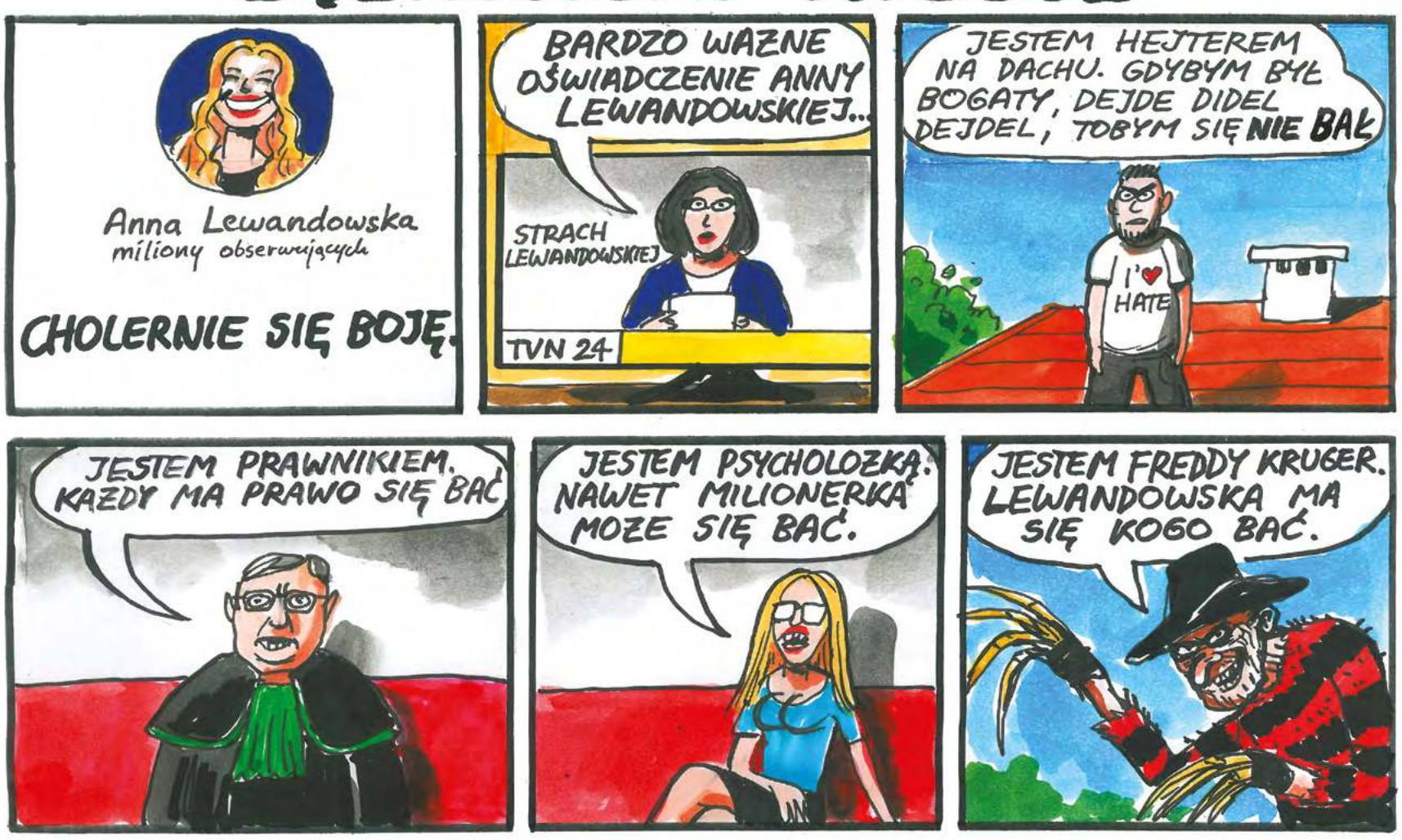

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 53612785c0